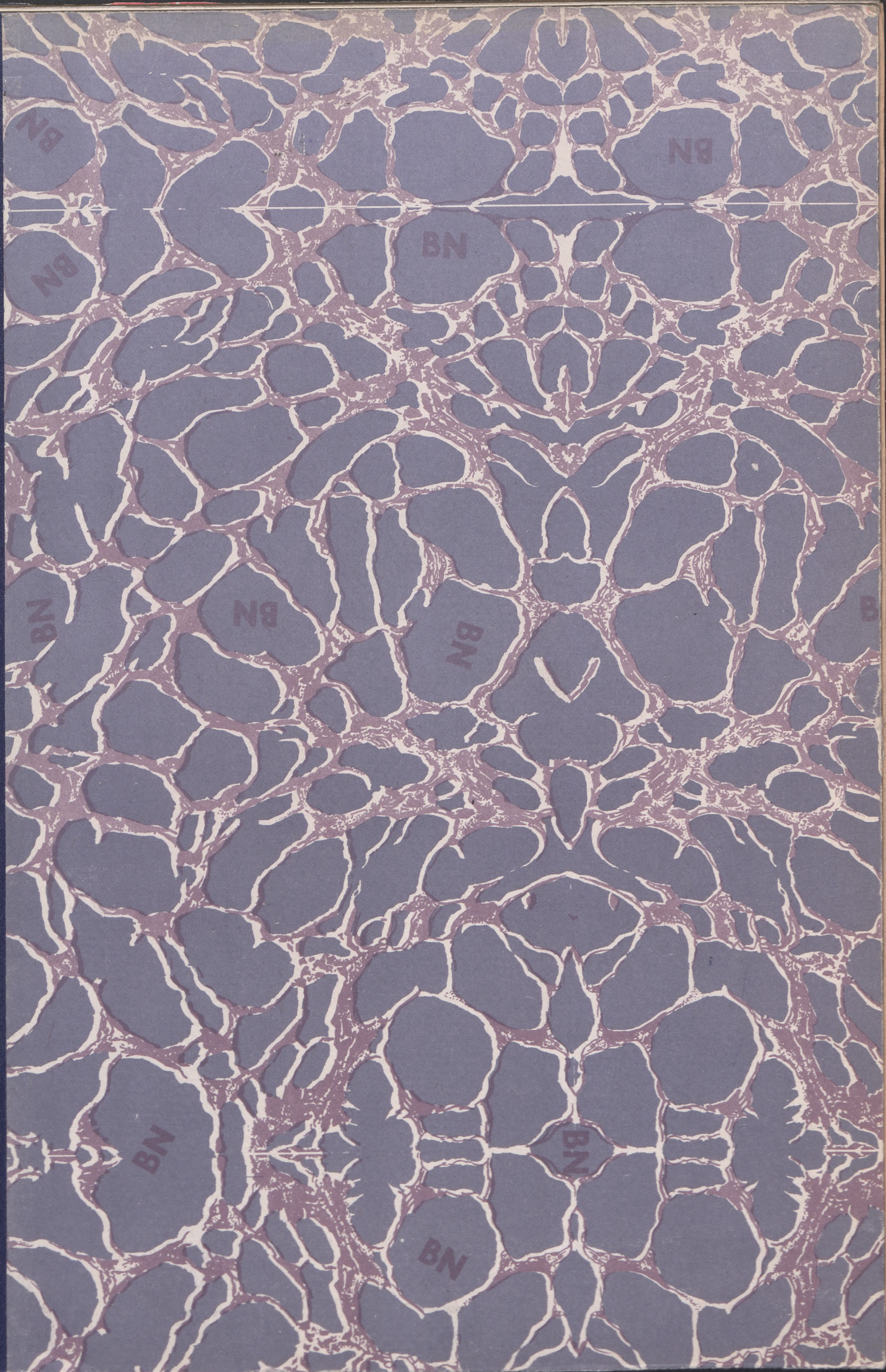
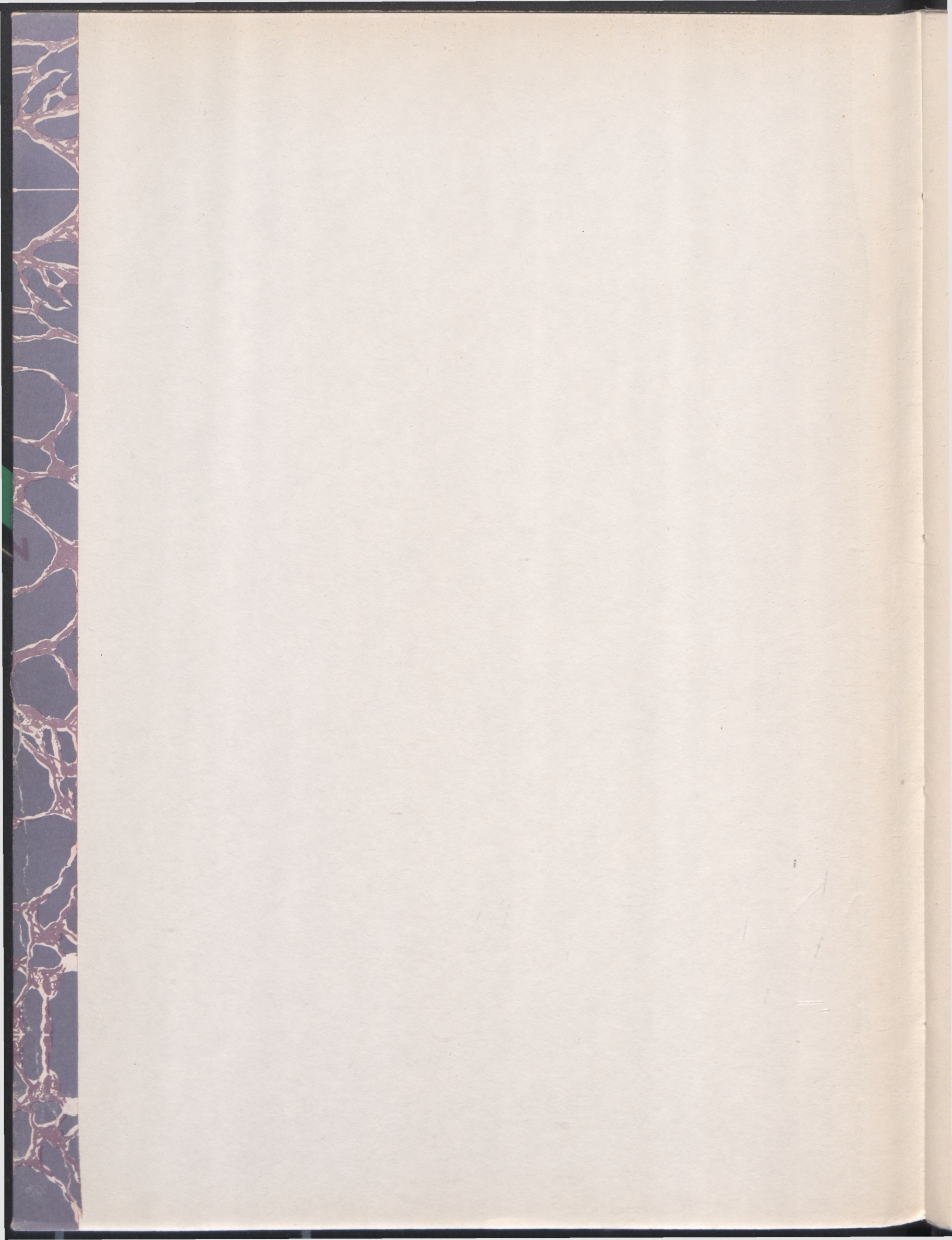
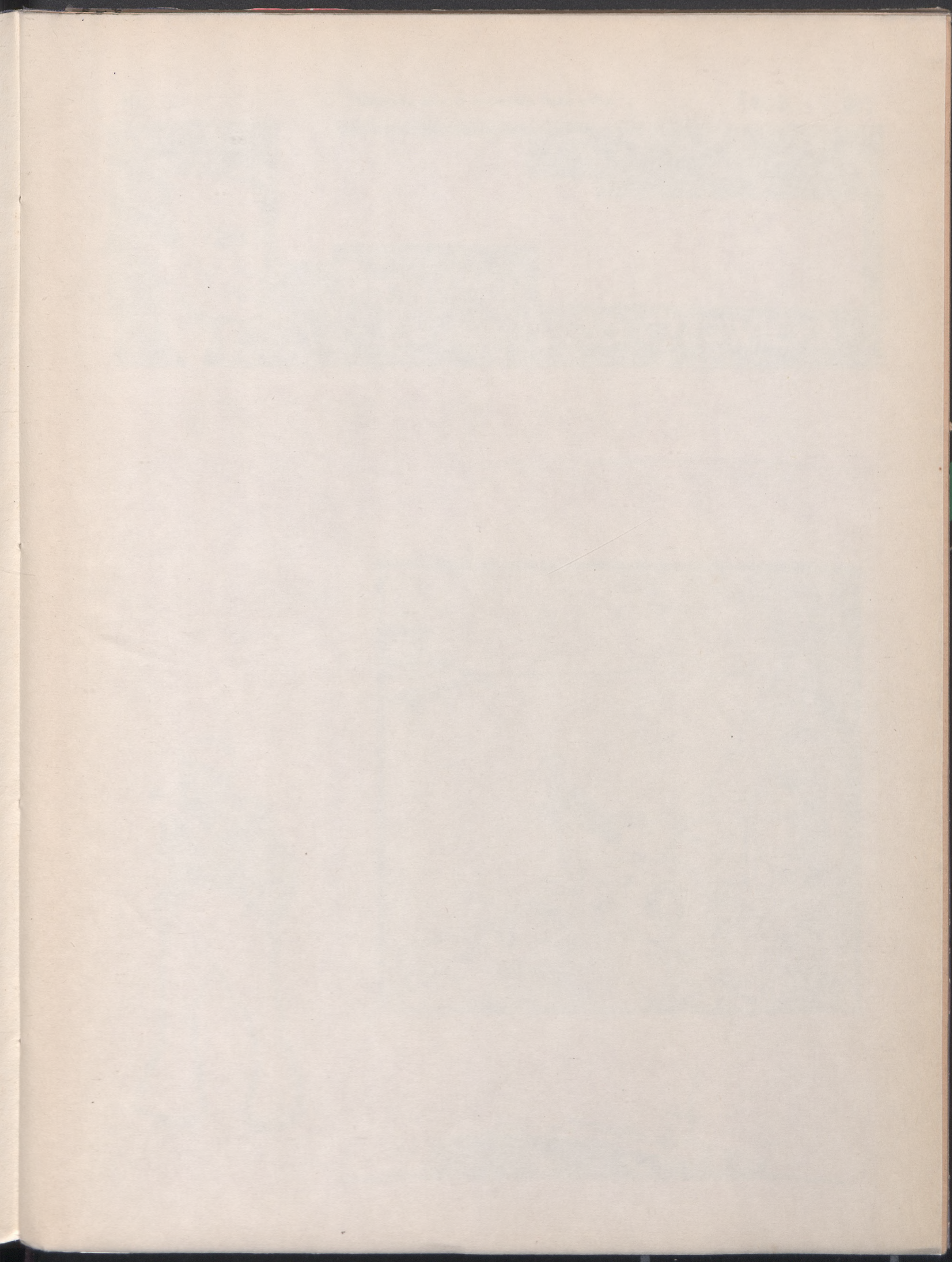


623405166









Nr. 66.

Wtorek, dnia 11 kwietnia 1939 roku

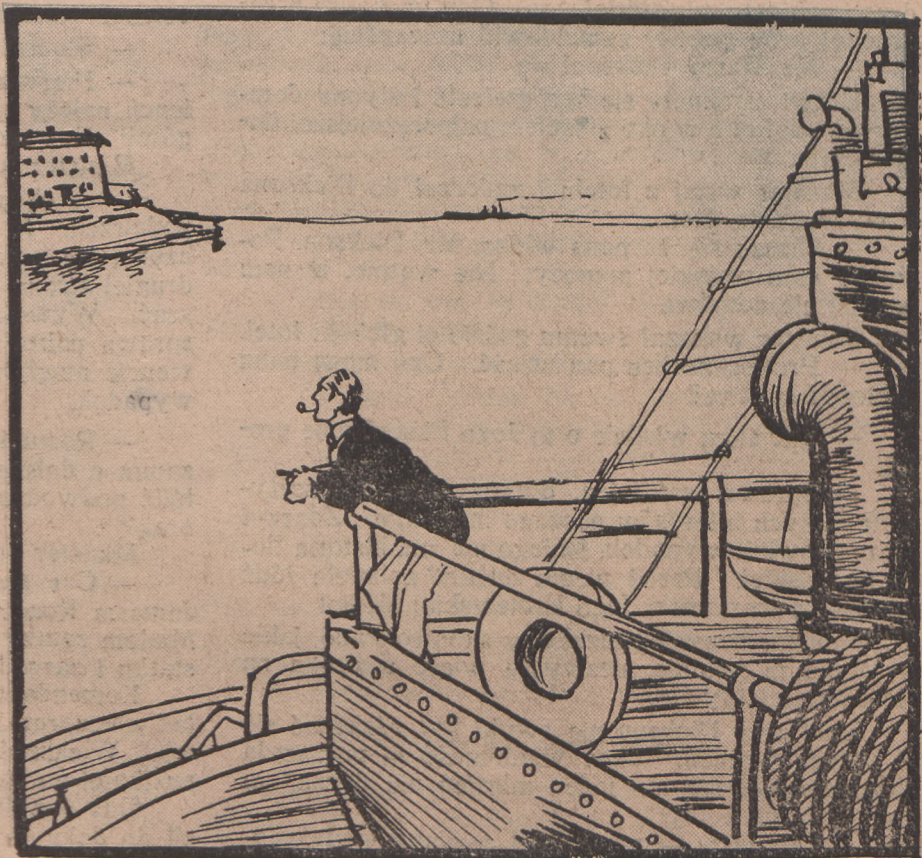
Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

UPIÓR TAMIZY





HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

UPIÓR TAMIZY

U ministra marynarki

— Jego ekscelencja prosi!...

Portier w mundurze bogato wygalowanym, w białych rękawiczkach i z medalami na piersiach skłonił się głęboko i otworzył szeroko wielkie drzwi gabinetu ministerialnego. Gdy przybysz przekroczył próg, portier zameldował uroczyście:

— Mr. Harry Dickson!

Drzwi zamknęły się bez szelestu i słynny detektyw stanął oko w oko z szefem najpotężniejszej floty świata.

Minister wstał z fotelu i zmierzał do Dicksona z wyciągniętą dłonią.

— Cieszę się, że pana widzę, Mr. Dickson. Potrzeba nam pańskiej pomocy. Nie wątpię, iż nam pan jej nie odmówi.

Minister wskazał swemu gościowi głęboki fotel.

— Proszę, zechce pan usiąść. Czy mogę panu wyłożyć sprawę?

— Chciałem właśnie o to Jego Ekscelencję prosić.

— Sprawa jest tajna, dotyczy bowiem najżywnotniejszych interesów naszego imperium. Zdarzył się nianowicie wypadek, jakiego nie zna historia floty angielskiej. Przed pięciu dniami zniknęła łódź podwodna marynarki Jego Królewskiej Mości!

Minister uczynił pauzę, aby skontrolować, jakie wrażenie ta istotnie niezwykła wieść uczyniła na głośnym detektywie.

Ale Harry Dickson nie zwykł był zdradzać się ze swych wrażeń. Choć wiadomość ta poruszyła go mocno, jednak ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy.

— Tak jest, — powtórzył minister podniesionym głosem. — Zagineła łódź. Przepadła jak kamień w wodzie. I przepadła tutaj — w porcie londyńskim!

Minister znów czekał na efekt swych słów, a po chwili ciągnął dalej:

— Oczywiście, że mógłbym od razu zwrócić się do Scotland Yardu. Wolałem jednak wyczerpać na razie nasze własne możliwości. Wyglądałem tedy rozkaz komendantowi kontrtorpedowca „Mewa“, aby dokonał inspekcji dna i brzegów Tamizy. Poszukiwania te rezultatów nie dały. Zwracam się tedy

do pana, Mr. Dickson. Proszę o pomoc i o dyskrecję.

Dickson skłonił się:

— Poczytuję sobie to za wielki zaszczyt, że będę mógł służyć marynarce królewskiej. Czy mógłbym właśnie w związku z tą sprawą postawić Ekscelencji kilka pytań?

— Słucham pana, Mr. Dickson.

— Pierwsze pytanie: czy zdaniem Jego Ekscelencji należy ten wypadek uważać za dzieło szpiegów? Czy możliwa jest taka sytuacja?

Minister wzruszył ramionami:

— Nie chciałbym wypowiadać nieuzasadnionych podejrzeń. Koncepcja tego rodzaju nie jest wykluczona, ale wydaje mi się mało prawdopodobna. Z drugiej strony nie wolno tych przypuszczeń rozgłaszać. Wywołałoby to burzę w opinii publicznej, sprawa nabrałaby niezdrowego rozgłosu i konsekwencje mogłyby być jeszcze poważniejsze niż sam wypadek.

— Rozumiem doskonale, Ekscelencjo. Proszę zatem o dalsze wyjaśnienia. Gdzie stała zaginiona łódź podwodna i kiedy, dokładnie, spostrzeżono jej brak?

Minister pochylił się nad aktami.

— Czy zna pan mały dok, położony nawprost Jamaica Road? Tam właśnie stała ta jednostka. Miałem zamiar dokonać już nazajutrz inspekcji tego statku i zarządzić krótkie ćwiczenia.

Komendant łodzi, kapitan Brothner, zeszedł na ląd wieczorem. Na pokładzie objął dowództwo sternik. Większość załogi „Trytonu“ bawiła za przepustkami na lądzie.

Gdy o godzinie piątej rano kapitan Brothner wrócił do doku — już swego statku nie zastał. Poszukiwania, podjęte przez kapitanat portu również nie dały rezultatu.

Nie znaleźli nic również nurkowie. „Tryton“ zniknął!

Harry Dickson poczynił małe notatki. Przyjął potem z rąk ministra upoważnienie, zezwalające mu na dostęp do wszystkich biur ministerstwa, na pokłady wszelkich statków i okrętów marynarki królewskiej i oddające do jego dyspozycji żandarmerię marynarki — po czym pożegnał ministra oświadczając:

— Jeszcze raz dziękuję Ekscelencji za zaszczyt i zaufanie. Przytoczę słowa admirala Nelsona: „Anglia liczy, że każdy spełni swój obowiązek“. Jestem z pochodzenia wprawdzie Amerykaninem, ale te słowa największego żeglarza angielskiego są dla mnie święte.

Detektyw zatrzymał pierwszą napotkaną tak-sówkę i kazał się wieźć do domu.

— Mistress Crown! — wołał detektyw już od proga — Mrs. Crown! Proszę szykować obiad i najwęższe, najelegantsze kamazse, jakie posiadam. Muszę się pokręcić po dokach. Będę udawał marynarza, starego wilka morskiego. A wiadomo, że słabością naszych marynarzy jest obuwie. Im mniej szy, bardziej śpaczasty i węższy bucik — tym większy szyk. I gazety, Mr. Crown, ale na jednej nodze! Duchem, moja złota pani, duchem!

Stara i poczciwa gospodyni schwyła się obie-
ma rękami za głowę:

— Na litość boską! Co się z panem dzieje! Co-
raz trudniej jest z panem pracować, Mr. Dickson. Prę-
dziej i prędzej, ciągle prędzej! A tu człowiek nie
młodnieje, tylko się starzeje. Jak ja mogę tak się
śpieszyć ciągle?... A poza tym mam coś panu do
powiedzenia. Sierżant Brown ze Scotland Yardu
czeka.

— Nie mogła mi pani tego wcześniej po-
wiedzieć?

— A bo to mi pan dał przyjść do słowa?

Detektyw pobiegł do poczekalni.

Brown, z głową opuszczoną na piersi — drze-
mał w najlepsze.

— Hallo, Mr. Brown! Co nowego sierżancie?
Co słyhać w krainie snów?

Otyły policjant zerwał się na równe nogi, choć
właściwie spał jeszcze:

— Tak jest. Wszystko w porządku. Melduję,
że podczas mej służby nic ważnego nie zaszło.

— Ma pan coś dla mnie?

— Gorąco jest. Usiadłem i zdrzemałem się tro-
chę. Przy takim upale zawsze mi się chce spać.
A co lepszego ma człowiek robić, kiedy musi cze-
kać, niż spać?... Nieprawda, Mr. Dickson.

— Czy to wszystko, co mi pan ma do donie-
sienia?

— Nie, nie wszystko — rzekł nareszcie osta-
tecznie rozbudzony sierżant Brown — Mam tutaj
list od superintendenta Goodfielda.

List znalazł się w ręku Dicksona.

— Dziękuję bardzo. Mogę pana poczęstować
cygarem. Proszę się pokłonić superintendentowi.
Do widzenia, Mr. Brown!

Brown skierował się ku wyjściu, a Dickson prze-
biegł oczami list od swego przyjaciela, jednego z naj-
wyższych dygnitarzy Scotland Yardu.

— Dziwne, — mówił do siebie półgłosem de-
tektyw, kierując się do stołu, na którym już gospo-
dyni zastawiła przekąski. — Bardzo dziwna sprawa.
Czytałem o tym kilka słów w „Times“. W jednym
z basenów pływackich nad brzegiem Tamizy zginęło
kilku uczniów. Poszukiwania rezultatu nie przy-
niosły.

Tam łódź podwodna, a tu — ludzie. Gina bez
śladu. Zajmiemy się jednym i drugim, tym bardziej,
że będę musiał odbyć spacerek łódeczka wzdłuż
brzegów Tamizy. A poza tym — trzeba będzie sko-
munikować się z instruktorem basenu. Rekinów nie
ma w Tamizie...

Detektyw zabrał się teraz do dzienników. Prze-
glądał je szybko. Miał ich cały plik i nie mógł po-

święcać im zbyt wiele uwagi. Pozostało mu jeszcze
małe prowincjonalne piśmiśko amerykańskie „Ar-
zona Kicker“.

Jeden z artykułów zwrócił szczególną uwagę
detektywa.

Artykuł ten brzmiał jak następuje:

„Profesor pozbawiony katedry i wydalony
z Uniwersytetu. Słynny anatom i kon-
struktor zajmował się doświadczeniami na
żywych ludziach“.

„Dowiadujemy się o wypadku, który
zdawałoby się, możliwy jest tylko w chorej
fantazji. Profesor uniwersytetu w Waszyn-
gtonie i jednocześnie wybitny konstruktor zo-
stał ostatnio zwolniony ze swego stanowis-
ka, bowiem okazało się, że robi on doświadcze-
nia na żywych ludziach. Wiązał on swe
ofiary i podobnie jak czynią uczeni ze świnka-
mi morskimi — postępował on z ludźmi, t. j.
dokonywał na nich badań i zabiegów.“

Zachodzi pytanie, czy ten uczony, który
w międzyczasie zbiegł, uznany zostanie za
chorego umysłowo i umieszczony będzie w
szpitalu — czy też jako zdrowy — zamknięty
zostanie w Sing-Sing, aby potem odpowiadać
za swą zbrodniczą gorliwość naukową przed
sądem“.

Dickson przeczytał tę wiadomość i zerwał się
na równe nogi.

— Konstruktor i anatom. Wydalony z uniwer-
sytetu. Tu w Londynie ginie łódź podwodna i w
ciągu kilku dni ginie kilka osób. A tamten w Wa-
szyngtonie robi jakieś dziwne doświadczenia. Zo-
baczymy, czy to nie ma ze sobą jakiegoś związku.

Detektyw zabrał się do charakteryzacji i po pół
godzinie przeobraził się w ogorzałego marynarza,
po czym wolnym, kołyszącym się krokiem, właści-
wym ludziom morza, skierował się do kuchni.

Dobra pani Crown ujrzała marynarza i huknęła
na niego:

— Skąd się pan tu wziął? Czego pan chce?
Mr. Dickson jest zajęty.

Detektyw wybuchnął śmiechem.

— To pan? To pan tak się przebrał? Jeszcze
mi pan kiedy się poda za primabalerinę i będzie pan
chciał, żebym wiedziała z kim mam do czynienia.
Rodzona matka nie poznałaby pana...

— W takim razie bardzo dobrze mistress
Crown. Żegnam panią. Idę na spacer do portu.

— Do widzenia... — Mistress Crown powiodła
spojrzeniem za swym pracodawcą: — Co to za czło-
wiek, co to za dziwak. Tylko mojej cierpliwości
trzeba...

Za detektywem zamknęły się drzwi

Niemila przygoda

Stary marynarz, który z trudem posuwał się
naprzód wzdłuż Towerdeck, a był widać już po nie-
jednym kieliszku, gdyż zataczał się, zderzył się wre-
szcie z dwoma, jak i on, pijanymi kolegami po fachu.
Wywiązał się niezwłocznie tradycyjny mecz bok-
serski z tradycyjnym również kołem widzów, któ-
rzy podniecając do walki obu przeciwników, zaim-
prowizowali równocześnie na ulicy coś w rodzaju
totalizatora przyjmując zakłady.

Ale wynik spotkania nie dał na siebie długo cze-
kać. Stary marynarz prawym sierpowym zwałił już
w pierwszej rundzie jednego z przeciwników za dru-
gim uporał się w czasie nieco dłuższym. Dobrze wy-

mierzonym upercutem, zdublowanym ciosem w żołądek „wykończył“ go wcale dokładnie.

Obaj pokonani przeciwnicy podnieśli się z trudem i, jak przystało na Anglików, mających sport już we krwi, zwrócili się do swego pogromcy:

— Nie ma co. Kto lepszy — ten zwycięża. Idziemy na kieliszek — na zgodę?

Stary marynarz podał im rękę z radością:

— Ma się rozumieć, że idziemy. Cóż to, nie znacie starego Billa, że się z nim bierzecie do bokswania? Zdaje mi się, że o moich pięściach potrafiłby sporo powiedzieć niejedyn chłopak od Londynu do Singapoore. Zapomniałem wam poradzić, abyście się ubezpieczyli przed walką ze mną.

— Stary Bill?... — powtórzył bez przekonania drugi z pokonanych. — Znamy go, słyszeliśmy. Tym bardziej idziemy na wódkę.

Wstąpili do baru „Pod Zieloną Fajką“.

Drzwi od baru otworzyły się. Wchodzących uderzyła woń skisłego piwa, taniej wódki, dymu tytoniowego i stęchlizny.

Rozpychając się łokciami, przeszli do wolnego stolika i zażądali wódki.

Goście w barze — marynarze ze wszystkich stron świata i włóczędzy z rozmaitych szerokości geograficznych — rozmawiali conajmniej kilkunastu językami.

Czytelnik już się niewątpliwie domyślił, że owym starym Billem, tak dzielnie się boksującym, nie był nikt inny, jak Harry Dickson.

Uwagę detektywa zwróciło czterech ludzi, wyglądających na robotników portowych z podnieceniem o czymś rozprawiających. Rozmawiali — jak detektyw rychło stwierdził — po niemiecku.

Harry Dickson znał ten język doskonale i, udając, że popija w najlepsze ze swymi kompanami, starał się dosłyszeć o czym ci ludzie mówili.

— Doktor już dziś wypłacał? — zapytał jeden z nich.

— Nie jeszcze. Ale ma przyjść dziś napewno i na początek wypłacić każdemu po pięć funtów. Będzie na nas czekał o wpół do dwunastej, nad wodą, tam gdzie nasz „Koziorożec“. Będziemy mogli pracować w spokoju, będą sami swoi.

Drugi z podejrzanych osobników spojrzał na zegar nad drzwiami:

— Pora już pójść w takim razie. Taki transport to nie bagatela, a wszystkie barany trzeba będzie dziś wyładować z pod pokładu i umieścić w chłodni.

Po chwili całe towarzystwo opuściło bar.

Harry Dickson zapłacił rachunek, uściśnął jeszcze raz dłoń swych nowych przyjaciół i ruszył za nieznanymi.

Nie miał trudności w śledzeniu tych ludzi: noc była ciemna a oświetlenie w tej części miasta — skąpe.

Detektyw szedł za nieznanymi wzdłuż bardzo licznych zabudowań, basenów, kanałów, śpichrzy i składów portowych.

Podeszli wreszcie do wielkiego budynku bez okien, o żelaznych drabinach, wiodących po murach aż do sufitu. Z rodzaju komina unosiły się białe opary. Z budynku zalatywało chłodem i wilgocią.

Jak Dickson rychło stwierdził, był to budynek jednego z największych przedsiębiorstw, importujących do Anglii mrożone mięso z Australii.

Nawprost budynku — na redzie stał wielki statek, również specjalnie przeznaczony do przewozu mięsa. Właśnie ładunek tego statku miał być prze-

niesiony do fabryki, położonej naprzeciw. Tak przynajmniej detektyw sądził.

Praca tam była w tej chwili w całej pełni. Małe wagoniki skrzybiały na szynach, ięczały żorawie i dźwigi.

Ludzie, których detektyw śledził, weszli na pokład statku i zniknęli mu z oczu.

— Jesteśmy na miejscu. — rzekł do siebie Dickson. — Trzeba będzie teraz znaleźć miejsce, w którym mógłbym się ukryć. Trzeba będzie przyjrzeć się bliżej i usłyszeć owego pana doktora, o którym mówili. Ciekawym bardzo, co może mieć ten człowiek wspólnego z takimi zbirami — jak te zuchy z baru...

— Przecież to gdzieś w tych stronach zginęła łódź podwodna „Tryton“! — rzekł do siebie mocno tym odkryciem podniecony.

Dickson przeszedł przez całą długość statku. Dojrzał zdaleka na przeciwległym brzegu basenu portowego zwisające z potężnego pierścienia żelaznego, wmurowanego w bruk, trzy ogniwa żelaznego łańcucha.

— Tutaj stała łódź „Tryton“ — rzekł do siebie detektyw. — Jakież nożyce wielkiego kalibru przecięły jej łańcuch.

— Dokąd łódź została zawleczone?... Co się stało z trzema ludźmi na jej pokładzie? Nad tymi pytaniami trzeba się będzie zastanowić. Jutro wezmę udział w ponownych poszukiwaniach w porcie. Będę przez cały czas na pokładzie poławiacza n.in: od początku do końca poszukiwań. Narazie jednak trzeba będzie posłuchać, co też mają sobie do powiedzenia robotnicy chłodni z owym panem doktorem.

Jak najostrożniej, jak najciszej zakradł się detektyw znów do swego ukrycia za zwojem lin.

Nad jego głową bez przerwy pracowały wagoniki elektryczne, przewożące mięso z lodowni okrętowej do wielkiej chłodni nad samym basenem. Zgrzyt, skrzypienie i hałas nie ustawały. Odgłosy te były tak monotonne, że w pewnej chwili poczuł detektyw, iż musi walczyć z coraz gwałtowniej ogarniającą go sennością.

Właśnie wskutek tego, nie zauważył detektyw sporej barki, która przybiła do brzegu, ani wychodzącej z niej po drabinie na pokład, sylwetki wysokiej i bardzo ruchliwej.

W tej samej chwili kilku robotników z lodowni okrętowej zeszło na ląd.

Dickson ukrył się jeszcze lepiej, aby nie spostrzegli go właśnie ludzie od strony chłodni. Musiał śnać uczynić ruch, który odsłaniał go od strony wody, gdyż człowiek, który przed chwilą wszedł na pokład, dostrzegł go.

Tygrysim bezszelestnym krokiem zbliżył się do zwoju lin, a w rękę jego zaślśniło jakieś dziwne łąso, jakby wykonane z metalu.

Lina świsnęła w powietrzu.

W jednej chwili detektyw poczuł, że ciałem jego wstrząsnął jakiś skurcz gwałtowny. Próbował się uwolnić, próbował zerwać liny, ale drut, giętki i mocny wpiął się w jego ciało. Dickson poczuł znów wstrząs gwałtowny i potem nagle, bez jęku, padł na deski pokładu.

Był we władzy zbrodniarzy. Został schwytyany, na łąso z metalu, przez które przepływał prad o dość znacznym napięciu.

Ludzie z dołu, od strony chłodni dosłyszeli świst łąsa.

— Co pan złapał w swoją siateczkę, Mr. Fist?

— Nie wiem jeszcze. Ale w każdym razie ten jegomość jest bardzo ciekawy, a nie chciał, abyśmy go dojrżeli. Z takimi panami trzeba się mieć na ostrożności. Trzeba go będzie przewieźć do chłodni. Ostudzimy jego zapaly!... — śmiał się ów Fist.

Kilku ludzi wbiegło na pokład.

— Wziąć go?

— Naturalnie. Tylko dokąd? Trzeba się chwilę zastanowić.

— Do chłodni przecież pan mówił, doktorze.

— Tak jest. Ale jaką drogą go najlepiej przewieźć.

Dickson próbował się wyrwać. Ale poczuł na sobie kilka żyłastych i twardych ramion robotników z chłodni. Szarpnęli nim, jakby był już nie człowiekiem, ale kawałem mięsa. Dickson krzyknął i wyrzucił przez burtę na brzeg.

Ale to był jego ostatni wysiłek. Znow poczuł, że prąd wstrząsa jego ciałem i szarpie jego mięśniami i znow padł bez przytomności.

Po chwili wprawdzie świadomość odzyskał, ale był już zupełnie bezsilny.

Poczuł, że go gdzieś czyjeś ręce unoszą, że składowają go na rodzaj windy. Tuż obok leżały całe kawały zimnego, zlodowaciałego mięsa.

Winda poszła w górę. Zatrzymała się — podjechał do niej wagonik i czyjeś ręce pchnęły Dicksona wraz z mięsem do wagonika.

Było mu chłodno: Czuł przy sobie, a nawet częściowo na sobie ślizgie, zimne mięso.

Jak długo trwała podróż napowietrzna — tego detektyw określić nie potrafił. W każdym razie zdał sobie sprawę, że po paru minutach znalazł się w ciemnym jakimś pomieszczeniu, już zamkniętym, jakoby w wieży.

Zawarkotał gdzieś zdaleka motor, nowy wciąż został uruchomiony i zawartość wagonika znalazła się na platformie, która poczęła się powoli opuszczać w dół.

Ruch ustał po chwili i wszystko zamarło. Cisza trwała krótko.

Detektyw dosłyszał czyjeś głosy, między nimi niski i dość dzwiczny głos owego doktora Fista.

Po chwili jakieś drzwi otworzyły się i zajaśniało światło.

Dickson, którego dojmujący chłód, jaki tu panował, szybko otrzeźwił, stwierdził, że jest w wielkiej lodowni. Na kamiennej posadzce leżały wielkie cegły lodowe, wokół na hakach wisały całe ćwiartki mrożonego mięsa.

Dickson uniósł się. Był skrupowany ale czuł się w pełni sił.

— Zamknijcie drzwi, — wydał rozkaz Dr. Fista.

— Musimy się przede wszystkim przekonać z kim mamy do czynienia.

— Jakoś się zmienił nasz ptaszek, — rzekł jeden z pomocników doktora.

Nieznamy podszedł do detektywa i szarpnął jego sztuczną brodę.

— Przez tę podróż szminka trochę się zmyła.

— Przebrany? — zaniepokoił się Fist. — To zły znak. Może nasłany przez kogoś? Zawołajcie Johna. Nie ma człowieka z podziemnego świata Londynu, żeby go John nie znał.

Jeden z ludzi nacisnął guzik wewnętrznego telefonu. Po kilku chwilach ów John zjawił się w chłodni.

Wystarczyło mu jednego rzutu oka.

— Na litość Boską! — krzyknął, — przecież to nikt inny, tylko Harry Dickson, sam Harry Dickson we własnej osobie!

— A to się nawet dobrze składa, — tryumfował Fist. — Moje uszanowanie panu Dicksonowi. Bardzo nam miło powitać pana w naszym gronie. Zdaje mi się, że przyszedł pan, żeby mi patrzeć na palce. Niestety, będę musiał przerwać to pouczające zajęcie. Czy mam się przedstawić?

— Nie, — odparł detektyw, — wiem z kim mam do czynienia. Jest pan owym słynnym Dr. Fistem z Waszyngtonu, wydalonym z uniwersytetu, pozbawionym katedry i poszukiwanym przez policję. Jest pan autorem dzieła, bardzo pod względem naukowym wartościowego, ale dokonanego kosztem zbrodni!

— Nie ma dla wiedzy zbyt wielkich ofiar, — rozumie pan? Jeśli uczonego potrafi poświęcać własne nieraz życie dla odkryć i badań — to wolno mu poświęcać i cudze!

Dickson zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z szaleńcem. Bo czyż tego rodzaju opinie mogłyby się zrodzić w umyśle człowieka normalnego?..

Fist biegał po chłodni i bił laską w jej posadzke, aż się echo rozlegało. Nagle zatrzymał się przed Dicksonem:

— Zatrzymajcie go tutaj! — krzyknął do swych ludzi. Otoczyć go murem z lodu. Będę miał z niego doskonały materiał do doświadczeń.

Kilku ludzi podbiegło do cegieł z lodu i poczęło je ustawiać wokół skrupowanego detektywa. Rosła wokół niego przejrzysta ściana, a im stawała się wyższa tym dotkliwsze zimno ogarniało Dicksona.

— Prędzej! — popędzał robotników zbrodniczy uczoły. — Prędzej!

Przerwał wołanie i kazał im zaniechać pracy.

Fist nadśluchiwał.

— Zamurować, prędzej. Zająć spoiwem!

Pod wpływem jakiejś substancji chemicznej cegły przymarzły do siebie i tworzyły jednolitą całość.

Nagle Fist sprężył się cały:

— Co to?!..

Robotnicy zastygli w bezruchu.

Słychać było wyraźnie odgłosy szybkich i ciężkich kroków. Ktoś biegł. Najpewniej kilku ludzi. Po chwili gluhe uderzenia o drzwi przerwały ciszę.

— Tędy! — krzyknął Fist, rzucając się pierwszy ku bocznym drzwiom. — Światło zgasić!

Zapadła ciemność. Dickson został sam: był skrupowany i żywcem zamurowany w lodzie.

Wolny!

W międzyczasie w Scotland Yardzie rozegrała się następująca scena:

Młody człowiek, mocno zdyszany wpadł do długiego korytarza, wiodącego do gabinetu superintendenta, przebiegł go jak szalony i dopadł do drzwi gabinetu, pukając może aż zbyt energicznie.

Ale tutaj napotkał na przeszkodę poważną i dużych rozmiarów. Był nią sierżant Brown.

— Teraz pan puka do pana superintendenta? A nie wie pan, że już koniec urzędowania?

— Tu chodzi o życie ludzkie! Rozumie pan? Muszę się zaraz zobaczyć z Mr. Goodfieldem.

— Wolnego, panie młody, wolnego!.. Do jutra rana chyba można się zatrzymać. Ja tutaj zaraz przyjmę meldunek, a jutro rano weźmiemy się do roboty.

— A przez ten czas człowiek, któremu grozi niebezpieczeństwo — umrze! Nie, panie sierżancie, a to ja się zgodzić nie mogę.

Młody człowiek tracił dość mocno sierżanta, otworzył drzwi i znalazł się w pokoju, sąsiadującym z gabinetem superintendenta.

— Hallo! — rozległ się głos Goodfielda. — Co tam się dzieje? To pan, Mr. Wills, co się stało?

— Proszę mi wybaczyć, — sapał ciężko Tom Wills. — Ale chciałem się koniecznie z panem zobaczyć, Mr. Goodfield. Sierżant nie chciał mnie wpuścić. Byłem w porcie i widziałem na własne oczy scenę przerażającą.

Czterech zbirów schwytało w pobliżu chłodni jakiegoś marynarza. Związane go przeniesli na statek. Jestem pewien, że została tam dokonana zbrodnia. Trzeba temu człowiekowi przyjść z pomocą. Czy pomoże mi pan, Mr. Goodfield?

— Oczywiście, — rzekł superintendent, naciskając jednocześnie na guzik. — I tę sprawę chciał Brown odłożyć do jutra? Już ja mu pokaże gdzie raki zimują.

W drzwiach stanął Brown.

— Dokąd to się panu śpieszy, sierżancie? Do domu, do pantofli i radia? A służba od czego? Policjant musi być zawsze w pogotowiu, rozumiano? Pięciu ludzi przygotować — jedziemy do portu. Ale już! Proszę za mną, Mr. Wills. Zobaczymy co się da zrobić!

Zajechali przed statek. Z Goodfieldem na czeluście znaleźli się po chwili na pokładzie.

— Gdzie jest komendant?!

Nieroludy już marynarz z odznakami bosmana zasalutował:

— Ja pełnię teraz służbę. Słucham pana

— Czy wszyscy ludzie są na pokładzie?

— Nie wszyscy. Kilku dziesięciu jest na lądzie. Mają wolne.

— Co tu się działo przed pół godziny, mniej więcej?

— Nie wiem o niczym, — rzekł bosman, a w głosie jego wyczuwało się naturalne zdziwienie.

— Zrobi pan zbórkę wszystkich marynarzy i robotników. Musimy się dowiedzieć, kogo tu schwytano.

Ludzie ustawili się na pokładzie.

— Czy nikt z was nie zauważył, jak pojmano tutaj na statku czy przed statkiem człowieka?

Ludzi: Blacka, Nortona i Murry i że najprawdopodobniej ta trójka brała udział w skrepowaniu nieznanego marynarza i umieszczeniu go — jak podali inni — w wagonetce.

Bosman, mocno zdziwiony tymi meldunkami niezwłocznie skomunikował się telefonicznie z dozorcą chłodni. Statek miał bowiem na czas postoju przewidywane połączenie telefoniczne z budynkiem.

Po chwili rozmowy bosman wybiegł na pokład, gdzie nań czekał Goodfield z Tomem Willsem i z oddziałem policjantów.

— Trzeba się śpieszyć, — mówił podniesionym głosem bosman, — wydaje mi się, że szykuje się jakaś zbrodnia. Dozorca zauważył ludzi w chłodni. Słyszał głosy i ruch niezwykły. To nie tylko ładunek mięsa tam przybył. Bierzemy ze sobą na wszelki wypadek siekiery!

Uzbrojeni przez bosmana dodatkowo w ciężkie siekiery, pobiegli wszyscy do chłodni.

Wjechali na piętro winda.

— Tutaj muszą być ci ludzie! Najpierw zapukamy, — rzekł bosman, silnie kołacząc w drzwi.

Gdy na pukanie nikt się nie odzywał — zadudniły siekiery.

Po kilku chwilach drzwi z łomotem wyleciały z zawiasów, cześć zaś ich leżała w postaci porabianych desek.

Znaleźli się w przejmująco zimnej i kompletnej ciemni.

— Światło gdzie jest? — irytował się Goodfield. — Zimno i ciemno! Przyjemne miejsce — nie ma co mówić!

Jeden z robotników odnalazł przełącznik.

Zajaśniała lampa, a światło, odbijając się w bryłach lodu, zaigrało kolorami tęczy.

Tom pobiegł w głąb sali. Rozglądał się wokół. Aż nagle ..

Czy mu się zdawało?...

Jakby go ktoś wołał po imieniu. Rozejrzał się raz i drugi. Znow dosłyszał słabe wołanie. Znow ktoś go wzywał po imieniu.

Coś schwyciło za serce Tomka. Zdawało mu się, że to głos Harry Dicksona, jego ukochanego mistrza.

Czy to możliwe?... Czyżby Harry Dickson miał być gdzieś tutaj? W tym mrozie i w tych ciemnościach?

Tom pobiegł wokół chłodnych murów sali, wokół rozwieszonych kawałów mięsa. Aż nagle natrafił. Napół zemdłony stał jego mistrz pomiędzy murami lodu.

— Dickson! — krzyknął Goodfield, który w tej samej chwili zbliżył się również do ściany lodu.

Kilka uderzeń siekierą i detektyw był wolny. Tom rozciął jego więzy.

Dickson, drżący z zimna padł zemdłony w ramiona swego ucznia.

Ale ten człowiek żelaznego zdrowia bardzo szybko przyszedł do siebie.

— Dziękuję wam, — mówił szczekając zębami, dziękując z całego serca. Nie wytrzymałbym tu długo. Do domu jak najprędzej. Muszę się rozgrzać, muszę się napić czegoś gorącego...

★

Mrs. Crown cofnęła się od drzwi przerażona.

Trupie błądy, drżący jak liść i wsparty na ramieniu Toma i Goodfielda — Harry Dickson czynił wrażenie człowieka śmiertelnie chorego.

— Co się stało! Na litość Boską!

Dickson uśmiechnął się kącikami ust.

— Zmarłem trochę. Niech mi pani łóżko przygotuje. I herbaty. Dużo cytryny i araku. Prędko Mrs. Crown!

Pocziwa kobieta pobiegła do sypialni detektywa, jakby jej kto skrzydła przypiął. Łóżko było w mig gotowe. Wierna gospodyni przytęszyła skądś jakieś plody i wszystko zwałiła na koidrę.

— Zaraz będzie butelka. I nie jedna. Goraca butelka też pana rozgrzeje. A herbata jest akurat.

Detektyw rozebrał się przy pomocy swego odanego ucznia i wreszcie znalazł się w łóżku, w ciepłym, mocno ogrzanym łóżku.

Początkowo rzucała nim febra, ale dreszcze przeszły szybko.

— Zaraz będę zdrow, — rzekł detektyw, — na widok gregu, z którym weszła Mrs. Crown.

— Niech pan prędko pije, i im gorętsze tym lepsze.

Po półgodzinie detektyw zasnął snem, który mu niósł całkowite nakrzenie

Wkrótce potem i Tom Wills zasnął również snem sprawiedliwego. Błogosławił chwilę, w której chyba instynkt jakiś skierował go do doków... Gdyby się zjawiał o kilka minut później — może by już nie mógł przyjść z pomocą Dicksonowi po prostu dlatego, że nie wiedziałby o grożącym mu strasznym niebezpieczeństwie.

★

Nazajutrz w godzinach rannych, gdy Dickson pił wonna kawę, powróciwszy już całkowicie do zdrowia, Mrs. Crown ze swą zwykłą niechęcią dla wszelkiego rodzaju interesantów, zameldowała:

— Jakiś pan. Tu jest jego bilet wizytowy.

— „Lionel Small“ — czytał detektyw głośno, — „właściciel szkoły pływania“.

— Prosić, — rzekł detektyw, zlegając jakby mentalnemu natchnieniu.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł stuprocentowy typ angielskiego sportowca. Wyseki szczupły, o pociągłej twarzy i jasnym wejrzaniu piwnych oczu. Mr. Small skłonił się z wielką unżonością detektywowi:

— Mistrzu! — począł błagalnym tonem instruktor pływania. — Niech mnie pan ratuje! Grozi mi ruina. Fatum jakieś prześladuje moje kursy pływania

— Niech pan z łaski swojej siądzie, — wskazał mu detektyw fotel. — Proszę mi darować, że przyjmuję pana w jadalni. Jestem jeszcze dziś do południa na prawach rekonwalescenta. Proszę, niech pan mi wyłoży wszystko dokładnie. Czym mogę służyć panu?

— Przeżywam ogromną tragedię. Słyszał pan pewnie, że niedawno zginęło kilku moich uczniów. Nikt już do mnie na naukę pływania nie przychodzi. Wszyscy uważają moje kursy za obciążone jakimś fatum. Nędza zagląda mi w oczy. Przecież inwestowałem w ten basen duży kapitał, cały kapitał jaki posiadałem... Nie mogę spać i jeść. Żał mi niewinnych ofiar, ludzi w kwiecie wieku, żał mi ich, jakbym ja był ich tragicznej śmierci winien. Żał mi ponadto moich pieniędzy.

Detektyw przerwał ten potok wymowy instruktora. Okazało się przede wszystkim, że brak trzech tora pływackiego.

— Proszę mi opowiedzieć wszystko po kolei, Mr. Small. Proszę się uspokoić.

— Tak jest... Przepraszam, że tak słabo panuje nad sobą.

Młody człowiek wciągnął głęboko powietrze i począł już ze spokojem:

— Zna pan pewnie mój zakład pływacki w Brentford. Dno jest starannie wyrównane, cały basen jest odpowiednio przegrodzony. Do najgłębszej części mają dostęp tylko pływacy doskonali.

Pod kierownictwem mojego nowego instruktora kilku zaawansowanych panów trenowało skoki z trampoliny. Wypływali po skokach jeden po drugim. Instruktor udzielał im wskazówek.

Ku zdumieniu wszystkich — jeden z uczniów nie wypłynął. Początkowo wszyscy sądzili, że nurkując płynie dalej, aby po kilku chwilach wynurzyć się gdzieś na uboczu. Wszyscy czekał z rosnącym niepokojem.

Ale nieszczęśliwy nie wypłynął. Instruktor rzucił mu się na ratunek, ale nie znalazł nic.

Instruktor nie zwlekając, doniósł mi o tym wypadku. Oczywiście, że czyniłem mu jak najostrzej-

sze wymówki. Byłem przekonany, że wydarzył się jakiś wypadek. Nakazałem zdwojenie czujności. Mnie przyszedł w udziale straszny obowiązek powiadomienia o tragedii rodziny.

Zamknąłem najgłębszą część basenu. Lęk padł na mych uczniów. Nie mieli odwagi wejść do wody. Po tygodniu, gdy już ten wypadek jakby trochę poszedł w niepamięć — wydałem zezwolenie na wznowienie ćwiczeń na największej skoczni.

Słyszałem głosy moich uczniów. Pobiegłem zresztą sam nad wodę, aby być świadkiem pierwszych skoków.

Tewien inżynier, człowiek silny i wysportowany skoczył doskonale, wypłynął i nagle, ku przerażeniu nas wszystkich z piersi jego wydarł się okrzyk:

— Ręka! Ręka mnie porywa!...

Zginął pod wodą.

Ja sam skoczyłem do wody. Za mną mój instruktor i pomocnik. Nurkowaliśmy kilkakrotnie. Z żalu, z rozpaczby byłbym najchętniej wogóle nie wypłynął. Nurkowałem aż do zupełnej utraty sił. Wszystko na nic!... Drugi uczeń przepadł, jak kamień w wodę!

Nazajutrz przybyli do pływalni dwaj młodzi ludzie: Oświadczyłem im, że kursy moje są zamknięte. Poczeli się dopytywać dlaczego, co się takiego stało... Nie zataiłem przed nimi niczego. Opowiedziałem im o obu tragediach. Ale byli to ludzie silni i zdrowi. Wyśmiej mnie. Powiadają, że nie potę przybyli do Brentford, aby wrócić z kwitkiem. Chcą pływać i trenować w skokach.

— Obym się nie dał wtedy przekonać!... Nieestety, stało się inaczej. Zezwoliłem im na ich własną odpowiedzialność, na kąpiel w najgłębszej części basenu i na skoki.

Głos profesora pływania załamał się.

— Nie wypłynęli obaj! — rzekł poprzez łkanie.

W pokoju zapanowała cisza.

Przerwał ją wreszcie Dickson.

— Współczuję panu najgłębiej. Rzeczywiście tragedia jest przejmująca. Ale nie spoczne, dopóki nie ujmę zbrodniarza.

— A więc — to dzieło rąk zbrodniczych, tak pan twierdzi?

— Jestem tego pewien, — odparł Dickson z mocą. — Mam pewien plan. Aby go w czyn wprowadzić, poproszę pana, aby znów otworzył swój zakład i rozpoczął ćwiczenia w skokach. Mój uczeń — Mr. Wills przybędzie również i będzie się kąpał wraz z pańskimi uczniami. Odpowiedzialność za ewentualne wypadki ja biorę na siebie. Reczę, że tym razem ani jeden z uczniów pańskich nie zginie.

Mr. Small wstał i wyciągnął rękę do słynnego detektywa:

— Słowa pańskie napawają mnie otuchą, Mr. Dickson. — Wierzę, że udowodni pan całemu światu, iż nie ma ani krztyny mojej winy w tych tragediach. I dziękuję panu zgóry.

Mr. Lionel Small wyszedł.

Dickson zapalił fajkę, otoczył się kłębami dymu i pogrążył w głębokim zamyśleniu.

Poszukiwania w Tamizie

Nazajutrz Dickson wstał rano i wbiegł do pokoju Toma:

— Do roboty! Pójdiesz do pływalni Smalla. Wykopiesz się dzisiaj i wypływasz za wszystkie czasy.

— Tak jest, mistrzu. A kiedy pan tam przybędzie?

— Zjawię się we właściwym czasie. Trzeba się będzie przebrać za urzędnika portowego. Przyszykuj mi mundur.

Spożyli śniadanie z apetytem. Tom wyszedł pierwszy.

★

Poławiacz min „Mewa“ szykował się właśnie do wyruszenia w stronę ujścia, gdy do jego burty dopłynęła niewielka motorówka.

— Kogo tam znów fale niosa? Człowiek nie ma ani chwili spokoju. Od czasu jak zginął „Tryton“ — nie jest się pewnym ani dnia ani godziny.

Gdy motorówka zatrzymała się przed okrętem Harry Dickson skinął ręką ku kapitanowi.

— Przybywam z rozkazem od ministra marynarki. Jestem Harry Dickson.

Kapitan z nastroju najwyższego zdenerwowania przeszedł od razu w równie wielki zachwyt.

— Bardzo się cieszę, że mogę pana oglądać na swoim statku. Pomoże nam pan odnaleźć „Trytona“ — jestem tego pewien. Bo my, żeglarze, nie jesteśmy detektywami... Co pan rozkaże? Jestem do pańskiej dyspozycji.

Dickson wszedł na pokład.

— Przeszukamy sieciami dno aż poza pływalnię w Brentford. Kilku ludzi pańskich pojedzie motorówka, którą tu przybyłem. Drugi koniec sieci będziemy trzymali tutaj, na tym pokładzie.

Kapitan zasalutował.

— All right! To przynajmniej dyspozycja jasna i wyraźna. Chciałbym zawsze takie otrzymywać. Zabawimy się zatem w rybaków.

Kapitan wydał rozkaz. Śruba poczęła pracować. Zapieniła się woda. Mały statek ruszył. Motorówka odjechała ku przeciwległemu brzegowi. Rozciągnięto sieci. Regularne poszukiwania rozpoczęły się.

— Cokolwiek sieci ujawnią — proszę mnie przedstawiać. Nie wolno mi przeoczyć najmniejszej drobnostki, — wydał ostatnie dyspozycje detektyw.

Rozpoczęła się żmudna i ciężka praca. Co kilkadziesiąt metrów ludzie podnosili sieć, przerzucając jej zawartość na pokład. Było w nich wiele części organicznych w stanie rozkładu. Fetor od tego szedł nieznośny.

Marynarze, złani potem, pracowali z coraz większą niechęcią.

Sieci zostały znów podniesione.

Obok rozmaitych puszek od konserw, gratów, zgnitych wnętrzności bydłeczychi t. d. leżał jakiś duży przedmiot, jakby zwinięty hamak.

— Hamak ktoś zgubił, — rzekł jeden z marynarzy.

— Zaraz zobaczymy co w nim jest, — odparł na te uwagi Dickson i w gumowych rękawicach począł odwijać oślizgłe sznury.

W środku leżała paczka, zawinięta w płótno. Gdy detektyw i to płótno rozwinał — stwierdził, iż ma przed sobą rękę ludzką. Dłoń była spreparowana, jakby wyszła z pracowni anatomicznej.

Marynarzy przeszedł dreszcz.

— Ludzka ręka!... — szeptał do siebie. — To chyba ślad zbrodni.

Detektyw przeglądał teraz płótno. Nagle świsnął przez zęby.

— Panie kapitanie, czy bielizna marynarzy na statkach jest znaczone nazwą danego okrętu?

— W angielskiej marynarce wojskowej w każdym razie, — brzmiała odpowiedź. — Hamak również pochodzi z okrętu wojennego.

Detektyw wskazał kapitanowi stempel na płótnie.

„H. M. S.“ — „TRITON“ widniał wyraźnie napis. Kapitan zbladł.

— Tak, — rzekł stary marynarz. — Nie ma wątpliwości. To ślad po zaginionym „Trytonie“. Lękam się o los tych kilku ludzi, którzy byli wówczas na pokładzie.

— I ja jestem tego samego zdania, — rzekł detektyw. — Zdaje mi się, że możemy już poszukiwania przerwać. Wiedziałem, że łodzi podwodnej tymi sieciami nie znajdziemy. Chciałem tylko wiedzieć jaki jest los załogi. Niestety, nie dowiedzieliśmy się niczego radosnego.

— Zatem przerywamy poszukiwania, Mr. Dickson?

— Tak jest. Czeka mnie jeszcze wiele pracy, panie kapitanie.

Motorówka przybiła do burty poławiacza min. Detektyw zajął w niej miejsce i dotarł do brzegu.

Detektyw zatrzymał pierwszą taksówkę, rzucił adres szoferowi i nakazał mu jak największą szybkość.

W dole Tamizy Dickson wysiadł z samochodu, czym prędzej zapłacił za kurs i podbiegł do wrót drewnianych.

— Proszę mnie zameldować do dyrektora, — rzekł portierowi. — Oto jest pismo z ministerstwa floty wojennej.

Po kilku minutach detektyw rozmawiał już z szefem wyposażenia marynarki.

— Proszę mi wybaczyć pośpiech, panie komisarzu. Potrzeba mi kompletnego wyposażenia nurka, łodzi odpowiedniej pojemności i dwóch doświadczonych ludzi do pomocy.

— Gdzie panu ten komplet dostarczyć?

— Do szkoły pływania w Brentford. Ale z zachowaniem jak największej dyskrecji.

— Tak jest. W ciągu dwóch godzin będzie komplet dostarczony na miejsce. Gdzie pan może czekać ludziom z łodzią?

— O kilometr w dół rzeki.

— Jak pan sobie życzy, Mr. Dickson.

Zamieniwszy jeszcze kilka miłych słów detektyw zatrzymał znów napotkaną taksówkę i kazał się zawieźć do szkoły pływania. Była akurat pora na spotkanie z Tomem.

Droga wiodła koło mostu i wieży Tower.

— Co to za dziwny budynek, — myślał detektyw po drodze, przyglądając się jednej z najładniejszych pamiątek Anglii. Ile tu skrytek najrozmaitszych, ile przejść tajemnych, ile lochów i piwnic. Pewnie po dziś dzień nie wszystkie są znane.

Wóz skręcił w ożywione ulice. Myśli detektywa potoczyły się innym torem.

Ryzykowny manewr

Tom Wills stawiał się w szkole pływania jeszcze przed oznaczonym terminem. Cekał na swego mistrza i zabijał czas przeglądaniem ilustracji.

Cisza panowała o tej porze w całym zakładzie zupełna. Kilku uczniów, przybyłych na kurs nie decydowało się na wejście do wody. Dowiedzieli się

z ust innych, jakie to tragedie rozegrały się w basenie. Nikt nie chciał wystawiać się na straszne niebezpieczeństwo.

Mr. Small powitał Toma z bladym uśmiechem na ustach.

— Jest pan, — rzekł. — Decyduję się pan na te niebezpieczną próbę... Czy zastanowił się pan nad jej konsekwencjami?... Czy wie pan, co panu grozi?...

Tom spojrział na mistrza pływania zdumionym wzrokiem:

— Mnie miałyby coś grozić?... Z chwilą, gdy mój mistrz, Mr. Dickson, roztacza nade mną pieczę? Nic mi nie grozi, drogi panie.

Mr. Small wzruszył ramionami.

— Podziwiam pana zaufanie do Mr. Dicksona.

— Każdy, kto zna mego mistrza, żywi do niego zaufanie takie, jak ja — to jest ślepe, bezwzględne i absolutne. Rozumie pan, Mr. Small?

— Nie rozumiem, ale podziwiam pana i podziwiam jeszcze bardziej Mr. Dicksona.

— Bo to jest człowiek nie tylko podziwu, ale najwyższego szacunku godzien, — rzekł Tom z mocą. — A ja jestem jego najbliższym pomocnikiem, proszę pana...

Po niespełna godzinie Harry Dickson przybył do zakładu.

— Jestem i zaraz będę gotów. Czy wszystko gotowe?

— Ja będę gotów za chwilę, — odparł Tom. — Muszę się tylko przebrać w kostium kąpielowy.

Mr. Small zasepił się. Zauważył to Dickson.

— Coś pana niepokoi, że moi uczniowie nie chcą nawet po kostki wejść do wody. Ci, co tu przyszli, to tylko tacy, którzy nie wiedzieli o dawnych tragediach. Ale zostali poinformowani przez innych, bo oto dwaj, którzy byli świadkami zatonięcia poprzedniczy przybyli rozmyślnie, aby nie pozwolić się innym kąpać? Powiem zresztą szczerze, że nie mam wielkiej ochoty do namawiania tych ludzi na wystawianie się na tak wielkie niebezpieczeństwo. Nie przeżyłbym nowej tragedii w moim zakładzie.

Dicksonowi zapaliły się ognie w oczach.

— Czy mógłbym się widzieć z tymi panami?...

— Oczywiście. Jeszcze są tutaj. Gawędzą nad wodą.. Leżą na słońcu.

Detektyw wybiegł do nich.

Powiódł po nich wzrokiem. Przekonał się, że ma przed sobą prawdziwych sportowców. Nie dziwił im się, że nie chcą się narażać. Ale wierzył, że zdoła ich dla swej sprawy zjednać.

— Panowie! — zwrócił się do nich. Przybyłem tutaj w związku ze sprawami bardzo smutnymi. Sprawdza mnie tutaj tragedia. W ciągu kilku dni zginęło, a może tylko zaginęło kilku panów. Przyzywacie tu, aby odpocząć po pracy, aby zażyć słońca i ruchu we wodzie, aby się szkolić w pięknej sztuce pływania — a wystawieni jesteście na straszne niebezpieczeństwo... Zbrodniarz jakiś tu działa! Zbrodniarz którego ukarać — jest moim zadaniem.

Jestem pewien, że w tym zadaniu znajdę pomoc ze strony każdego Anglika. Bowiem nie masz pod słońcem poddanego Jego Królewskiej Mości, któryby nie miłował prawa i któryby nie przyłożył ręki do zwycięstwa sprawiedliwości. Jest to naszym obowiązkiem, świętym obowiązkiem! i oto teraz nastąpiła chwila wypełnienia tego obowiązku. Czy znajdzie się wśród panów, ludzi prawych i dorosłych

choćby jeden, któryby mi w tej ciężkiej sytuacji odmówił pomocy?!...

Kto z panów za mną?...

Z piersi kilkunastu młodych ludzi dobył się niemal jednoczesny okrzyk:

— Wszyscy idziemy z panem! Wszyscy!

Dickson uśmiechnął się z wdzięcznością i uznaniem do swych słuchaczy.

— Dziękuję panom. I powiem, że spodziewałem się tego po was. Dodam ponadto, że nikomu z was nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Poproszę was, abyscie poza drugie ogrodzenie nie przechodzili. Przejdzie poza nie tylko mój uczeń i pomocnik — Mr. Tom Wills.

Tom ukazał się na plaży koło brzegu basenu. Był już w koszulce i spodenkach kąpielowych.

Obecni spojrzeli na niego z podziwem.

— A więc, do wody, panowie! Ale poza drugą linę proszę nie przechodzić!...

Wszyscy wskoczyli do wody. Dickson tymczasem podbiegł do Tomka i zatrzymał go.

— Będiesz na razie pływał razem ze wszystkimi. Trzykrotny sygnał malej syreny z motorówki oznajmi ci, że w pięć minut po nim masz wpłynąć na największą głęboką pod trampolinę. Bacz tymczasem aby się wszyscy jak zwykle kąpali.

Dickson oddalił się. Udał się do Mr. Smalla.

Ale właściciel szkoły pływania biegł już ku detektywowi:

— Jakaś skrzynia jest dla pana, Mr. Dickson! — wołał z daleka instruktor.

Detektyw przyłożył palec do ust:

— Cicho! Niech się o tym nikt nie dowie. O kilometr stąd czeka na mnie łódź. Trzeba mi być kazać sobie dostarczyć tę skrzynię w łodzi. Przepraszam pana, ale czy ma pan do dyspozycji jakiś samochód?

— Mam. Nie wiele wart wprowadzić, ale jest.

— Może mi go pan na krótko udzielić?

— Oczywiście. Mój instruktor odwiedzi pana. Podjechała zamknięta limuzyna.

Przy pomocy Mr. Smalla Dickson załadował skrzynię do samochodu i pojechał w górę rzeki.

Motorówka już czekała. Dickson przeładował skrzynię, zresztą nie wielką i nie bardzo ciężką na motorówkę.

★

Gdy już Dickson był gotów, gdy miał na sobie kostium nurka dał znak jednemu z dwóch swych pomocników.

Nad wodą rozległ się donośny ryk syreny, włączonej do motoru.

Tom czekał na ten sygnał. Wbiegł na trampolinę, zeszedł po niej na sam dół, zanurzył jedną nogę, potem drugą, rozejrzał się i wyraźnie grał na zwłokę. Na rękę miał wodoszczelny zegarek.

Nareszcie!... Pięć minut upłynęło

Tom wbiegł teraz na trampolinę. Gdy szykował się do skoku — dosłyszał tuż warkot silnika motorówki.

W tej samej chwili, gdy Tom wskoczył, ustała praca maszyny i Harry Dickson, w przebraniu nurka opuścił się na dno rozgałęzienia Tamizy niedaleko tego miejsca, gdzie zaczynał się basen.

Dr. Small przyglądał się jak Tom pływał. Młody człowiek był doskonałym pływakiem. Pozostawał cały czas pod trampoliną.

— Niech pan będzie ostrożny, Mr. Wills. — prosił go właściciel szkoły.

— Mój mistrz jest za mnie ostrożny, nie mam się czego obawiać. Jestem w dobrych rękach, może pan być o mnie spokojny.

— To prawdziwe szczęście pracować z takim człowiekiem.

— Z tym się zgadzam zupełnie, — rzekł Tom, dając nurka.

Tom znów się wynurzył. Płynął szybko. Był teraz w najgłębszym miejscu.

— Widzi pan, — wołał do Smalla, — nie mi się nie stało i nic mi się nie stanie. Gdzie jest ręka, która ma mnie wciągnąć w głębie?

— Niech pan nie wywołuje wilka z lasu, — groził mu palcem Small.

— Nie ma żadnego wilka... Nie ma... Co to?... Coś mnie schwyciło! Ach! Na pomoc!

Tom znikł pod wodą.

Powstała panika. Wszyscy rzucili się na brzeg. Small zemdlał. Kilku ludzi krzyczało głośno. Ale nikt nie odważył się rzucić młodemu człowiekowi na ratunek.

Walka pod wodą

Dziwne to uczucie, gdy schodzimy do wody w kostiumie nurka. Czujemy wokół siebie chłodny i wrogi żywioł, a ciało nasze otacza jakby izolator — skafander.

Dickson szybko, o ile mu na to pozwalały specjalnie obciążone podeszwy, zmierzał ku basenowi szkoły Smalla. Szum wody dochodził jego uszu jakby jakiś ryk stłumiony.

Dickson dojrzał podwodną część rusztowania trampoliny potem dojrzał nogi pływaka, pracującego rytmicznie na największej głębi.

— To Tom — przeszło mu przez myśl. Spojrzał dalej poprzez zielonkawę wody. Z radością stwierdził, że w płytszej części są inni pływacy.

Przez myśl Dicksona przeszły ostatnie odkrycia w tej ponurej sprawie. Nie było wątpliwości: zaginięcie łodzi i tragedie w basenie były dziełem jednej ręki.

Ale gdzie jest sprawca tych zbrodni?...

Detektyw trwał na posterunku. Oto na chwilę zniknął mu Tom... Popłynął pewnie gdzieś dalej...

Dickson rozglądał się poprzez wodę. Ale co to? Ciemny jakiś punkt wyłonił się w oddali. Zbliżał się powoli, bardzo powoli... Wyglądało to z dala na jakiegoś potwora z dna oceanu. Czyżby to było złudzenie? Wielkie, czarne cielsko potwora zbliżało się teraz.

Głębina w tym miejscu wynosiła około dziesięciu metrów. Na dnie rosły wodorosty.

Dickson skrył się za nimi i przyglądał się owemu czarnemu potworowi, który powoli zbliżał się ku terenom szkoły pływania. Nagle Dickson zrozumiał wszystko. Bo oto ów potwór wykonał manewr jakis pod wodą i ustawił się do detektywa z profilu.

„H. M. S. TRITON“ — czytał Dickson.

A więc „Triton“ się odnalazł. Odnalazł się i był w ręku zbrodniarza, który tutaj porывał kąpiących się!

Detektyw, ukryty ciągle za kępą zielsk podwodnych czekał teraz na to, co dalej będzie. Był gotów do walki. Sprawdził, czy ma szyplet za pasem.

Łódź poruszała się powoli, snać jej kierowca dbał, aby nie spostrzeżono lekkiego ruchu wody na powierzchni.

Statek stał teraz w zupełnym bezruchu.

I oto nagle jakaś postać odłączyła się od okrętu. Ku rusztowaniu pod wieżą do skoków, pod największą głębią basenu zmierzał jakiś człowiek również w stroju nurka!

Choć dopływ powietrza przez rurę z góry dochodził do ust i nosa a zatem i płuc detektywa regularnie, Dickson czuł, że mu tchu braknie.

Tam pod powierzchnią wody ukazały się znów nogi Toma.

— Ten chłopiec zaufał mi ślepo — pomyślał Dickson. — A tutaj zmierza ku niemu wróg. Ten wróg zginie, zanim tknie mego Toma! — przysiągł sobie Dickson i szybko ruszył ku owemu tajemniczemu człowiekowi, skradającemu się pod wodą.

Oto nefrasobliwy pływak przepłynął niemal nad samą głową tamtego nurka. Wyciągnęła się dłoń, ale zbrodniarz chybił. Tom popłynął dalej.

Potykaç się między zaroślami — Dickson biegł prawie ku swemu przeciwnikowi.

I oto nagle stała się rzecz straszna. Tom znów się znalazł w polu działania tajemniczego złoicy. Woda zakotłowała się. Dickson ujrzał, jak dłoń zbrodniarza zamknęła się wokół stopy młodzieńca.

Oto dwie sylwetki toczą walkę pod wodą. Tom wyrывa się. Tamten chwytą go w swe żelazne ramiona. Tom walczy pod wodą: lada chwila straci oddech. Jego wróg jest w skafandrze, dysponuje przeto pełnią sił i powietrzem.

Napastnik ciągnie Toma. Jest już blisko łodzi. Ale w tym momencie dopada do walczących Dickson

Detektyw chwytą swego wychowanka, wyrывa go z ramion wroga, który dobytym nożem zadaje cios ponad głową Dicksona.

Już po chwili Dickson wie co ten cios znaczył. Złoicyca przeciął mu przewodnik doprowadzający powietrze. Z każdym ułamkiem sekundy czuje Dickson, że mu coraz duszniej. Ostatnim wysiłkiem woli ciągnie Dickson za linkę alarmowa.

★

Ludzie na górze, dwaj pomocnicy wydelegowani przez szefa zaopatrywania marynarki, pompują powietrze miarowymi ruchami małej pompki

Mówią o wypadkach w basenie. Powtarzają plotki krążące po Londynie, że oto Small ma zostać aresztowany. Winien jest podobno braku nadzoru.

Pracują monotennie. Nie wiedzą jaką misję spełnia człowiek, któremu tymi swymi ruchami dostarczają powietrza — dostarczają życia.

Ale oto jedno szarpnięcie liny alarmowej. Po chwili drugie!...

— Prędzej, Jim. Coś się stało! Ciągnij!

Dzielni ci ludzie dopadają do kołowrotu na którym nawinięta jest lina stalowa, łącząca nurka z jego statkiem.

Jeden kręci, drugi, ażeby było prędzej ciągnie linę.

— Nareszcie!

Nad powierzchnią wody ukazał się hełm skafandra. Po chwili z wody wyłania się Dickson dzierżący w objęciach swego ukochanego ucznia — Toma Willsa. Tom jest niemal nieprzytomny.

Wyciągają ich obu. Widzą, że rura doprowadzająca powietrze jest przecięta. Czym prędzej otwierają hełm.

Dickson pełną piersią chwytą powietrze, ożywcze, życiodajne powietrze!...

— Zajmijcie się tamtym, ja poczekam. Płyniemy w górę rzeki, jak najprędzej!

Zagrał motor. Łódź ruszyła. Ludzie krzątają się koło Toma. Zdjęli z niego koszulkę pływacką, podartą prawie na strzępy i rzucają ją w zarośla nadbrzeżne. Nacierają go. Tom otwiera oczy.

Łódź płynie szybko ku miastu.

★

Mr. Small po długich zabiegach odzyskuje przytomność.

— Nie przeżyję tego, — lamentuje. — Odbiorę sobie życie. Jestem zrujnowany. I znów nowa ofiara. Na nic wszystko! Nawet Harry Dickson nie pomógł...

— Nie zjawił się nawet, — pienia się uczniowie Smalla. — Zginał jak każdy śmiałek, który ryzykuje namiętnie cudzym życiem!

Mr. Small, wspierany przez instruktora, kieruje się do swego pokoju.

Jest u progu, gdy na jego ramieniu kładzie się czyjaś ciężka dłoń.

— Mr. Oliver Lionel Small — aresztuję pana w imieniu króla!

Nieszczęśliwy instruktor pływacki chwieje się na nogach.

— Jestem aresztowany?... Za co? Czy za to, że spotkało mnie największe nieszczęście, jakiego doznać może człowiek?...

— O powodach aresztowania dowie się pan z ust sędziego. Nie mam ku temu dyspozycji — brzmi chłodna odpowiedź.

— To już koniec, koniec mego życia.

Biedny Small wybuchł spazmatycznym płaczem.

Przed domem stoi wóz policyjny. Uczniowie Smalla widzą jak go lokują w wozie.

Tymczasem jeden z posterunkowych znajduje nad brzegiem podartą koszulkę Toma.

— Mamy jeszcze jeden dowód rzeczowy w tej sprawie. — mówi do siebie gorliwy funkcjonariusz i wrzuca koszulkę do torby.

Odkrycie w Tower

W średniowieczu Tower był najpotężniejszą twierdzą Anglii. Przeobrażony następnie w więzienie państwowe, do którego wtrącono najcięższych przestępców, przetrwał Tower do ubiegłego stulecia, aby wreszcie obecnie ulec jeszcze jednemu przeobrażeniu i stać się muzeum i jednocześnie arsenałem muzeum broni dawnej i arsenałem współczesnych środków prowadzenia wojen.

Wejście do Tower prowadzi przez Lwie Wrota, zwane tak z tej racji, że w tym miejscu mieścił się niegdyś park lwów. Przechodzi się ponad fosą po moście zakończonym dwiema wieżycami i bezpośrednio z mostu wchodzi się na podwórze. Na prawo wznosi się wieża Św. Tomasza i ponad wspianą arkadą mostu droga prowadzi już do samego Tower.

Teraz mamy przed sobą na wprost Wieżę Krwawą, Bloody Tower, w której przechowywane są klejnoty koronne. Nazwa tej wieży datuje się od czasów Ryszarda III, monarchy okrutnego i popędliwego, który tutaj zabił dzieci Edwarda IV, a których kości znaleziono dopiero w wieku 17-ym u stopni, wiodących do kaplicy.

W kaplicy wreszcie znajdują się grobowce licznych postaci historycznych — między innymi Anny

Boleyn i Katarzyny Howard — nieszczęśliwych małżonek króla Henryka VIII oraz szczątki książąt Essex.

Ten krótki opis, który niewątpliwie przyda się czytelnikowi zwłaszcza, gdyby mu losy zezwoliły na zwiedzenie Londynu i jego największej osobliwości Tower — ten krótki opis podajemy na tym miejscu dla jasności naszego dalszego opowiadania.

Teraz możemy już wrócić do naszego bohatera — detektywa Harry Dicksona.

Po przygodach na dnie Tamizy znalazł się Dickson ze swym uczniem w dobrze znanym mieszkaniu przy Baker Street. Tam, już zupełnie zdrow i znów pełen życia — siadł przy oknie i zabrał się do przeglądania książki. Od czasu do czasu rzucał młody człowiek zatroskane spojrzenie ku swemu mistrzowi. Wiedział, że Dickson nad czymś głęboko rozmyśla.

Tom chciałby bardzo zadać swemu mistrzowi jakieś pytanie, ale nie śmiał. Wiedział, że podczas takich rozmyślań nie należy Dicksonowi przeszkadzać.

Dokąd wycofała się łódź podwodna?... Gdzie stacjonuje?... W czyich jest rękach?

Te pytania nie przestawały nurtować Dicksona.

Detektyw przebiegł myślą wydarzenia ostatnich godzin. Spotkanie w chłodni z owym tajemniczym doktorem, ów hamak wyłowiony z wody koło Tower, walkę pod wodą...

— Znaleźliśmy ten hamak koło wieży Tower. Koło Tower, — powtórzył Dickson... Nagle zerwał się na równe nogi. — Co z tym wszystkim ma Tower wspólnego?... Czyżby ten budynek, w którym tyle krwi przelano i tyle jęków się rozlegało, był teraz terenem nowych zbrodni i nowych okropności?...

Instynkt jakiś mówił Dicksonowi, że winien tam właśnie szukać wyjaśnienia zagadki.

— Nie mam żadnych danych ku temu, — mówił sam do siebie, — ale przecież wolno mi posłuchać głosu podświadomości. Nic nie ryzykuję, czyniąc małą wycieczkę do starożytnej budowli londyńskiej.

Dickson nabił nową fajkę i zwrócił się do Toma:

— Jak się czujesz, Tomku?

— Dziękuję, bardzo dobrze

— Na małą przechadzkę wybrałbyś się ze mną?

— Z panem, mistrzu, zawsze

— A więc, jazda!

Szli w najlepszych humorach, noga w nogę. Nikt patrząc na nich, nie przypuszczałby, że zaledwie przed kilku godzinami walczyli obaj ze śmiercią.

— Wiesz Tomku, — rzekł Dickson, — że Small został aresztowany?... Bardzo mi go żal, nieboraka.

— A moja koszulka będzie jeszcze jednym dowodem przeciwko niemu...

— Tak jest. Ale mam nadzieję, że lada godzina zmieni się opinia policji w stosunku do mistrza pływania.

Znaleźli się koło Tower.

Dickson zatrzymał się w pewnym oddaleniu i przyglądał się szczegółowo okazałemu budynkowi.

Na wysokiej drabinie pracował koło zegara jakiś rzemieślnik. Dickson podszedł bliżej i stwierdził, że ów rzemieślnik był elektro-monterem, zajętym sprawdzaniem licznika, mierzącego zużycie prądu, obsługującego właśnie ten zegar.

Monter dziwił się czemuś głośno i kręcił z niedowierzaniem głową.

— Co się stało, panie mechaniku, — zagadnął go Dickson, czestując doskonałym cygarem.

Monter zeszedł o stopień niżej, wziął z podniesionej dłoni detektywa cygaro i podziękował.

— Co się stało? — powtórzył. — Otóż stało się to, że ten zegar od jakiegoś czasu konsumuje ze cztery, pięć razy więcej prądu niż zwykle. Albo przewodniki mają jakieś połączenie, albo ktoś kradnie prąd... Ale kto, gdzie i po co?...

Detektyw słuchał tych uwag ze wzrastającym zainteresowaniem.

— To bardzo ciekawe, tym ciekawsze, że jestem inżynierem z administracji zabytków londyńskich i że mógłbym tą sprawą zająć się z miejsca.

— To się dobrze składa, panie inżynierze. Może więc pan inżynier skieruje mnie gdzie trzeba. Jestem do usług. Na pewno ten „uciekający“ prąd gdzieś się znajdzie.

— Z miłą chęcią. Zbadamy najpierw co się dzieje w samej wieży.

Po pół godziny młody elektrotechnik wyszedł z zamku zacierając ręce z zadowoleniem: pan inżynier nie szczędził mu pochwał i dał porządny napiwek.

Harry Dickson zabrał się do dokładnych poszukiwań w prastarej budowli. Fakt, że ktoś kradł prąd — napawał go nadzieją, że jest na dobrej drodze.

Rychło znalazł detektyw odgałęzienie kabla. Widać było, że zostało dokonane ukradkiem, nąprędcę i byle jak.

Tajemnicza linia prowadziła ku fosie.

Dickson zeszedł w dół. Tom szedł za nim. Droga była trudna. Trzeba było się opierać nieraz rękami, aby nie spaść. Tom, mniej zręczny i mniej doświadczony w tego rodzaju wyprawach, kilka razy obsunął się. Przerażony Dickson, który teraz starał się zachować kompletną ciszę, dawał mu gestami do zrozumienia, aby nie hałasował.

Nagle Tom stracił równowagę, zesunął się o kilka metrów, wpadł na Dicksona i obaj zjechali na dół po pochyłości fosi aż wylądowali na jej dnie.

Znaleźli się w wąskiej gardzieli fosi, gdzie ciemność panowała zupełna.

Dickson na chwilę zapalił latarkę. Ujrzał jakiś korytarz podziemny, niski zupełnie, raczej loch i na jego końcu — niskie drzwi drewniane.

Z tysiącnymi ostrożnościami zmierzali teraz ku tym drzwiom. Dla pewności zgasili światło.

Uszu ich doszły po kilku chwilach jakieś głosy. Ktoś się skarżył. Jakby ktoś kogoś błagał o coś, jakby ktoś inny wzywał pomocy.

Za drzwi błysnęło przez szpary światło.

Po chwili rozległ się głos niski:

— Przeklęte szczury!

Głos zamilkł i światło w szparach zniknęło.

Jakby wypędzone spod drzwi — z piskiem i szuraniem śmignęło koło nich teraz kilkadziesiąt szczurów.

— Brr! — otrząsnął się Tom. — Wolę stu bandytów niż dziesięć szczurów, — szepnął do siebie.

Wstrętne gryzonie wlażyły im na obuwie i czepiały się spodni.

— Pożra nas żywcem! — jęczał prawie Tom.

Potrząsnął nogą. Kilka szczurów spadło, inne rzuciły się na nie, powstała zjadła walka. Zakotłowało się u ich stóp, rozległy się piski, chrębotania i sapanie.

Uszli kilka kroków — fala szczurów minęła ich. Ale oto ujrzał a raczej wyczuł znów Tom, że coś spod nóg wystrzeliło.

Zjawisko powtórzyło się kilkakrotnie.

— Ropuchy! — wzdrygnął się młody człowiek. — Brak jeszcze żmij i węży do kompletu... A niech że to licho weźmie!

— Cicho! — syknął Dickson. — Przestań narzekać jak stara baba! Zaraz się i tak wszystko skończy.

Tom widział, że jego mistrz jest podniecony do najwyższych granic.

Szli tedy w milczeniu. Chwilami Dickson posługiwał się latarką. Najrozmaitsze zwierzęta, żyjące w ciemności, zaduchu i wilgoci raz po raz uciekały spod ich stóp. Tom wziął na ambicję i milczał.

Byli już zupełnie blisko drzwi. I znów roziegł się jakiś głos.

— Jeszcze raz panu powiadam, że te zbrodnie, jeśli je pan popełni, nie ujdą panu płazem. Prędeż czy później zawisnie pan na szubienicy. A w tej chwili może panu ująć wszystko i jeszcze zarobi pan wiele. Proponuję panu okup. Duży okup. Jestem bogaty! Słyszysz pan! Sto tysięcy za życie. Sto tysięcy!... Sto tysięcy! — głos przeszedł w ryk. Był to ryk rozpaczny.

Zapanowało milczenie. Przerwał je po dłuższej chwili głos prawie dziecięcy.

— Niech pan mnie puści. Jestem tutaj najmłodszy. Błagam pana, — krąkał ktoś. — Niech pan mnie nie zabija.

— Nie masz mnie o co prosić, bo na razie i tak cię nie tknę. Mam czas. Muszę cię przygotować. Masz trochę chloroformu. Powachaj, a uśniesz i będziemy mieli obaj spokój...

Rozległ się rozzwierający jęk:

— O Boże wielki!...

I znów cisza zapadła kompletna.

Przerażeni obaj detektywi przywarli do ściany i wsłuchiwali się w tę ciszę.

Od czasu do czasu za drzwiami rozlegały się jakieś kroki lub odgłos przesuwanego mebla.

— Pieniądze, — rzekł nagle głos, a Dicksonowi zdawało się, że zna ten głos dobrze, że już gdzieś go słyszał, — pieniądze — powtarzają jeden przez drugiego. Nie zależy mi na pieniądzach. Ja pracuję dla sławy i dla dobra ludzkości. Dajcie mi sławę — a zwolnię was wszystkich!

Woń chloroformu, mdła i ciężka dobiegła nozdrzy detektywów aż przez szpary w drzwiach.

— Macie tu, śpijcie. Przestańcie mnie nudzić. Potrzeba mi siły i wytrwałości, aby dokończyć mego wielkiego dzieła.

— Mamo! — rozległ się głos młodego człowieka, owego najmłodszego z całej grupy.

Dickson drząc z oburzenia zdolał niespostrzeżenie odłupać kawałek deski. Mieli teraz przez spory już otwór wgląd do środka owego tajemniczego pomieszczenia, w którym się te straszne sceny rozgrywały.

Urządzenie w tym podziemnym schronie przypominało zwykły pokój ordynacyjny chirurga.

Wokół stołu operacyjnego, białego o niklowanych okuciach kręcił się mężczyzna wysokiego wzrostu w fartuchu chirurga. Bez przerwy mówił coś do siebie i mruczał.

Wokół na półkach i szafach stały butelki z kolorowymi płynami i kryształami najrozmaitszych soli.

W głębi...

Ten widok zamroził Dicksonowi i Tomowi krew w żyłach!...

Oto w głębi pomieszczenia stały pod ścianą klatki, małe klatki a w nich na słomie stali lub leżeli w głębokim narkotycznym śnie — ludzie!

Światło mocnej żarówki padało na umęczone twarze tych więźniów. Wreszcie w kacie, obok szkieletu leżały już spreparowane kończyny.

Ciągle coś mrużąc do siebie, ów tajemniczy uczony podszedł do jakiegoś aparatu i przekreślił kontakt; rozległ się lekki tyk maszyny elektrycznej i dłoń, leżąca na stole, poczęła się pod wpływem prądu zamykać i otwierać.

Człowiek przyglądał się przez chwilę otwierającej się i zamykającej dłoni, potem zaczął obchodzić klatki i przed każdą przystawał chwilę.

— Czy osiągnę mój wielki cel? — rzekł nagle głośno. — Czy uda mi się, że ci tutaj, będą już ostatnimi ofiarami, które składam na twym ołtarzu — *W i e d z o*? Wszystko jestem dla ciebie gotów uczynić. Nie żałowałbym i mego własnego życia...

W oczach tego człowieka zagorzał jakiś blask fanatyczny.

— Tomku, — zwrócił się Dickson do swego ucznia jak najcichszym szeptem, — przyjrzyj mu się. Czy nie poznajesz w nim człowieka, który próbował cię porwać na dnie Tamizy, w basenie?

Tom zbladł.

— Tak jest, mistrzu, poznaję jego oczy, gdy na mnie patrzył przez helm. To ten sam!

— Nie wątpię o tym, — rzekł Dickson. — Mamy go zatem. Cofniemy się teraz. Za chwilę — sforsujemy drzwi. Słyszysz, Tomku?

Dickson obejrzał się. Toma nie było. Gdzie się podział? Czyżby zapadł się pod ziemię?

Ale w tej samej chwili rozległ się nieco z oddali szept Toma.

— Mistrzu, tutaj prowadzi boczny korytarz. Ma połączenie ze służą. Tutaj są wrota jakiejś komory. Wystarczy tę komorę otworzyć, aby zalać całą fosę.

— To ciekawe, — zauważył Dickson, który zbliżył się do Toma. — Wróć pod drzwi, obserwuj co się tam dzieje, gdybyś dostrzegł, że któremuś z więźniów grozi niebezpieczeństwo — piśnij jak szczur, a ja przybiegnę z pomocą. Muszę s'uzę skontrolować.

Z trudem po omacku posuwając się naprzód po nierównościach terenu, dążył Dickson przed siebie. Okazało się, że ten boczny korytarz czynił nagle gwałtowny skręt i potem wznosił się ostro pod górę.

Powoli rozjaśniało się coraz bardziej. Po kilku minutach Dickson był już nad poziomem owej służy, której komorę oglądał przed chwilą z dołu.

Pośrodku komory, ukryta przed oczami ludzkiemi stała łódź podwodna.

„H. M. S. TRITON“ — dojrzał Dickson napis.

— Eureka! — tryumfował. — To mi się powiodło przynajmniej!

Nagle rozległ się przeciągły i ostrzy pisk, podobny do pisku szczura.

— To sygnał Toma! — pomyślał Dickson i czym prędzej rzucił się z powrotem w podziemny korytarz.

Tom czekał już mocno podniecony.

— Wywłócił jednego ze śpiących. Pewnie marynarza, bo był tatuowany. Gdy dosłyszał mój sygnał — zatrzymał się. Teraz biegnie prawie po swojej pracowni. Jest ostatnia chwila!

Dickson wyjął z kieszeni kajdany i rewolwer. Odbezpieczył go.

— Szykuj broń, Tomku! — pał cichy rozkaz — A teraz na drzwi!

Cofnęli się obaj o kilka kroków i razem z rozpędu na nie natarli.

Drzwi ustąpiły z przeraźliwym łoskotem. Niezwłocznie wywiązała się gwałtowna walka pomiędzy Dicksonem a zbrodniarzem.

Dickson nie zdążył w pierwszej chwili zrobić użytku z broni, zresztą miał zasadę stosowania jej tylko w wypadkach ostatecznej konieczności.

Tom wmieszał się do walki i jednym silnym chwytem unieszkodliwił szaleńca.

Dyszząc ciężko i sapiąc, tajemniczy uczony i szalelec w jednej osobie leżał na podłodze swego tajemnego laboratorium.

— Koniec przyszedł na dobroczynię ludzkości, — drwił sobie detektyw. — Już teraz skończą się pańskie praktyki, którym na imię zbrodnia. Wstawaj pan. — rzekł Dickson, nakładając kajdany na ręce szaleńca. Ujęty nie stawiał już oporu.

Opuścił głowę. Z całej jego postaci przebijała głęboka rozpacz.

— Przegrałem, — szlochał, — przegrałem walkę, którą prowadziłem dla dobra wiedzy. Kiedyś ludzkość tego pożałuje.

— Nie pożałuje nigdy. Nie ma bowiem takiego celu, któryby wolno okupywać zbrodnią. Człowiek tego prawa nie posiada, choćby był największym uczonym. Tylko szaleniec może sobie pozwolić na zabijanie ludzi w imię nauki.

— Szaleniec... Szaleniec... — powtórzył więzień w zamyśleniu, a w oczach jego była jakaś szklistość dziwna... Tak mi mówiono: może i jestem szaleńcem, ale mój obłęd przyniesie owoce...

— Na razie jego owocem jest zbrodnia, a tam, gdzie jest zbrodnia, — tam nie może być mowy o zasługach. Zresztą, dość tych dyskusji. Usłyszysz pan od sędziego to, co ja w tej chwili mówię. Ludzkość, ani wiedza nie chce aby dla nich ręce ludzkie plamiły się krwią innych ludzi. Tomku, — zwrócił się Dickson do swego ucznia — zajmij się więźniem. Ja zaopiekuję się jego ofiarami.

— Wszyscy są uspieni, — ustalił po chwili detektyw. — Trzeba będzie sprowadzić karetki pogotowia. Zajmą się tymi nieszczęśliwcami lekarze, i sprowadź również samochód policyjny. Odstawimy tego zbrodniczego doktora do więzienia, które dla niego będzie przedsięwzięciem szubienicy.

Po kilkunastu minutach u wrót Tower zatrzymały się trzy samochody. Dwie karetki do przewozu chorych i jeden wóz więzienny.

Wkrótce ciężko uspieni odjechali do lecznicy. Trzech marynarzy z „Tritona“ wróciło do miasta o swych własnych siłach.

★

Czy trzeba wspominać o olbrzymiej radości, z jaką zostali powitani owi uczniowie Smalla, których uważali już wszyscy za zmarłych?...

Czy Czytelnik nie domyśla się, jak szeroko rozpisywały się dzienniki o tym znakomitym wyczynie Dicksona. Przecież odnalazł łódź podwodna — niezwykle kosztowny obiekt państwowy. Dickson traktowany był na łamach pism, niezym bohater narodowy.

Sam minister marynarki wojennej był tak ucieszony, że zaprosił detektywa do swego gabinetu, zapowiedział sekretarzowi, że nikogo nie przwimuje i zaraz na wstępie oświadczył mu co następuje:

— Oddał pan Anglii usługę bezcenna, Mr. Dickson. Dzięki pańskiej interwencji unikneliśmy poważnych konfliktów. Dziękuję panu w imieniu króla. Mam dla pana za te usługi czek na 5000 funtów i sądzę, że nie uzna pan tej sumy za zbyt niską. Ponadto czeka pana wysokie odznaczenie.

Dickson podziękował za jedno i za drugie.

Minister zatrzymał go na długiej pogawędce, w trakcie której stwierdził ze zdumieniem, że ten sławny detektyw jest również człowiekiem wielkiej kultury, że zna się doskonale na malarstwie, że miłuje muzykę i ma głębokie wykształcenie humanistyczne.

Harry Dickson szykował się już do pożegnania z ministrem, gdy nagle przypomniał sobie o pewnej sprawie:

— Łódź podwodna występuje w mojej praktyce już nie po raz pierwszy bądź jako narzędzie zbrodni, bądź też jako pomoc w pościgu za zbrodniarzem. Choć tedy już kilkakrotnie miałem z nią do czynienia — ale nigdy nie odbyłem podróży podwodnej. Czy pan minister...

Pierwszy lord admiralicji nie dał detektywowi skończyć:

— Pragnąłby pan odbyć podróż podwodną? — rzekł minister. — Ależ nic łatwiejszego. Proszę mi tylko powiedzieć na jakiej łodzi — mniejszej czy większej, o większym czy mniejszym zagłębieniu.

Detektyw stropił się zlekka.

— Nie mam odwagi nadużywać uprzejmości ekscelencji, — rzekł po chwili. — Ale moim pomocnikiem jest...

Uprzedzający minister znów podjął:

— Jest Mr. Tom Wills, młody ale już doskonale zapowiadający się detektyw. Wiem o tym. Wiem doskonale. Więc i Mr. Wills pragnąłby zwiedzić łódź podwodną i odbyć podróż w głębinach oceanu, czy nie tak?

— Tak jest, Sir. Jeśli wolno o to prosić.

Minister nacisnął guzik dzwonka.

Zjawił się wygalowany woźny z licznymi orderami na piersiach.

— Proszę poprosić komandora Morrisona.

— Tak jest.

Stary służbista, widać były marynarz, wyszedł kołyszącym krokiem, jakby był na pokładzie statku, rzucanego huraganem.

Komandor Morrison, już szpakowaty oficer marynarki, w mundurze, o twarzy ogorzalej od wiatrów, zameldował się od proga.

— Proszę, komandorze, niech pan siada, — wskazał mu fotel minister.

— Tak jest mylordzie — wyprężył się oficer i trwał w tej pozycji.

Gdy pierwszy lord admiralicji zajął miejsce, oficer stanął w pozycji na spoczynku, nie siadł jednak przy swym najwyższym zwierzchniku.

— Mr. Dickson... — począł minister, wskazując na detektywa.

Komandor otworzył szeroko oczy.

— Mr. Harry Dickson?... — powtórzył, — sławny detektyw?... Jestem bardzo rad, że mogę pana poznać, Mr. Dickson.

— I ja również, panie komandorze.

— Mr. Dickson, — podjął z uśmiechem minister, — pragnąłby przespacerować się pod wodą. Towarzyszyć mu będzie Mr. Tom Wills, jego pomocnik. Jaka łódź stoi w porcie najbliższym, panie komandorze?

— R-45, Sir.

— Czy ta łódź będzie panu odpowiadała? — zagadnął minister detektywa.

— Ależ oczywiście i bardzo dziękuję, — skłonił się Dickson.

— Kiedy może wyruszyć, komandorze?

— W każdej chwili, Sir. Czekam rozkazu.

— Czy jest pan gotów do natychmiastowej podróży, Mr. Dickson?

— Tak jest. Tyle tylko, że muszę zadzwonić do mego pomocnika.

— Proszę! — I pierwszy lord admiralicji wskazał detektywowi swój aparat telefoniczny.

★

Po niespełna godzinie w porcie wojennym pod Londynem zatrzymało się auto ze znakami rządowymi.

Wysiedli z wozu Dickson, Tom i major Morrison. Kapitan był już poinformowany. Szalupa czekała na detektywa.

Podróż na pokładzie tej łodzi była jednym z niezapomnianych przeżyć Harry Dicksona. Tom był tak zachwycony tą piękną, choć bardzo niebezpieczną służbą, że postanowił za rok zgłosić się na ochotnika, by korzystając z prawa wyboru broni, dostać się właśnie do marynarki podwodnej.

★

Z otrzymanych pieniędzy pożyczył detektyw sporą sumę nieszczęśliwemu Smallowi: dzielny ten człowiek otrząsnął się pod wpływem Dicksona pod ciężkich przeżyciach, a zwolniony oczywiście z więzienia już nazajutrz po wyjaśnieniach detektywa — rychło wziął się na nowo do pracy.

Basen pływacki położony w innym miejscu i sala ćwiczeń cielesnych Mr. Smalla po dziś dzień znane są w najlepszych sferach Londynu.

★

Sprawa przeciwko potwornemu lekarzowi dr. Fistowi była mocno skomplikowana: Sąd musiał zdecydować przede wszystkim, czy człowiek ten jest szaleńcem i czy zamiast go karać, nie należałoby umieścić go w domu obłąkanych.

Psychiatrzy jednak orzekli, że Fist jest całkowicie odpowiedzialny za swe czyny.

PALACZE TYTONIU

Ratujcie zdrowie
Nikotyna zatruwa organizm



Możecie w sposób łatwy i przyjemny odzwyczaić się w ciągu 3-ch godzin od palenia. Zamówcie zaraz nasz wieczny papieros „IDEAL” i ochronicie swe zdrowie przed niszczącym wpływem nikotyny. — Papieros „IDEAL” daje możliwość zaciągania się i oddziaływa zbawiennie na błonę śluzową nosa i gardła. „IDEAL” wzmacnia i krzepi organizm, dając zadowolenie duchowe i fizyczne. Mnóstwo listów dziękczynnych. — Cena zł. 2.45. Płaci się przy odbiorze. Nie zwlekajcie! Zamówcie — póki nie jest zapóźno! Straconego zdrowia nie odzyskacie! Płaci się przy odbiorze. Wysyłamy na liście wnie zamówienie

Adresuj:

Kazimierz Kołodziejczyk, dz. 2

Warszawa I, Pl. Nał. skrz. poczt. 700 H. D.

W procesie ponadto występował rzecznik prokuratury Stanów Zjednoczonych, który domagał się wydania tego zbrodniarza Ameryce, gdzie czekał go fotel elektryczny.

Sąd skazał go na najwyższy wymiar kary.

— Proszę, aby moje ciało zostało przeznaczone do celów naukowych, — oświadczył w ostatnim słowie zbrodniczy maniak.

Zyczeniu jego stało się zadość.

KONIEC.

Czarna i biała magia

Każdy, kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Czarodziejska tablica. Lustro magiczne. Polykanie ognia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Spiewająca fiaska. Jajo w butelce. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrytych przedmiotów. Sztuki z rachunkami, z kartami. Seanse spirytystyczne. Każdy łatwo potrafi się nauczyć wszystkich sekretów. Wysyłamy łącznie z Czarną Magią różne ciekawe książki, komplet z 6 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. —

Adresuj:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK oddz. 2

Warszawa I, Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

UWAGA: Bezpłatnie dodajemy książkę p. t. „Poznaj siebie i bliźnich!!!” Jak wróżyć z ręki i z palców, najnowsze sposoby wróżenia.

Cud techniki
nowoczesnej



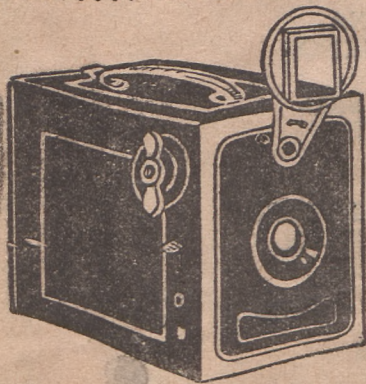
**Automat-
Pistolet „Grom“**
kal. 6 m/m —



jest uznany przez znawców za najlepszy. Zabezpiecza od mimowolnego strzału. System belgijski, pięknie oksydowany. Repetuje się przed strzałem automatycznie wyrzuca gilzy. Huk kolosalny. Wykonanie luksusowe. Rekojeści wykładane masą bakelitową. Waga 200 gramów, długość 100 m/m., wysokość 65 m/m. Idealna obrona przed napadem i kradzieżą. Cena zł. 6.95. Dwie sztuki zł. 13.50. Setka naboju system „Flobert” zł. 3.65. Pozwolenie niepotrzebne. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. — Adresujcie: Przedst. Fabryki Pistoletów

Kazimierz Kołodziejczyk oddz. 2

Warszawa I, Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.



APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAŻDEGO!!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten odznaczający się wysoką precyzją wykonania robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze. Rozmiar 6x9. Aparat fotograficzny „Rekord”, efektownie wykonany, wysyłamy łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i pouczeniem za zł. 8.95 na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj:

Kazimierz Kołodziejczyk

Warszawa I, Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

Następny **Nr. 67 Harry Dicksona**,
który ukaże się we wtorek, dn. 18-go kwietnia
zawierać będzie przygodę pod tytułem:

CZARNA PANTERA

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności przeistaczania się, w niezrównanej jego sztuce przebijania się, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją twarzą, swym głosem, a nawet swym wzrostem — tkwi widocznie tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|------------------------------------|------------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“ | 33. ZŁOWIESZCZY ŚNIEG. |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 34. WILKOŁAK. |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“ | 35. GWIAZDA POLARNA. |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“ | 36. KWADRATOWE OKNO. |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“ | 37. WODNY CZART. |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“ | 38. DUCH W ZAMCZYSKU. |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“ | 39. UPIÓR W TEATRZE |
| 8. „KRÓL NOCY“ | 40. DEMON WIATRU. |
| 9. „POSEPNA KABALA“ | 41. SOBOWTÓR. |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“ | 42. NIEWIDZIALNY MĘDRZEC. |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“ | 43. DANCING NA BŁOTACH. |
| 12. „KAPIAŃKA OGŃIA“. | 44. PRZEDZIWNY HOTEL. |
| 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY | 45. SREBRNA MASKA. |
| 14. ŻYJĄCY BUDDA | 46. SIEDEM KRZESEŁ. |
| 15. WIDMO TUŁACZA | 47. DIABELSKI SKARB |
| 16. SKRADZIONY TESTAMENT | 48. KAT LONDYŃSKI. |
| 17. DUCH ŚWIATŁA | 49. CZERWONY SUŁTAN. |
| 18. CZERWONA DAMA | 50. PRZYGODA MALAJSKA. |
| 19. MIASTO PIRATÓW | 51. SYNOWIE NOCY. |
| 20. POSTRACH LONDYNU | 52. KRÓL ŻELAZA. |
| 21. Tajemnica łodzi podwodnej | 53. WALKA W TUNELU |
| 22. NIEBIESKI BOCIAN | 54. ZBRODNICZY AUTOMAT |
| 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO. | 55. Tajemnica profesora Foxa |
| 24. HAWAJSKI SZTYLET. | 56. W PIASKACH SAHARY |
| 25. WOSKOWE JABŁKO | 57. DWANAŚCIE SERC |
| 26. WIELKA GRA. | 58. ŻYWY PORTRET |
| 27. HOTEL EMIGRANTÓW. | 59. ZAMEK NA SKALACH |
| 28. KRWAWY KLEJNOT | 60. BAL MASKOWY |
| 29. SZTUCZNE ZŁOTO. | 61. TRAGEDIA STAREGO RODU |
| 30. CZARNY MŚCICIEL. | 62. CZERWONY SMOK |
| 31. KSIEŻYC BIRMAŃSKI. | 63. SKRADZIONY WYNAŁAZEK |
| 32. POŻAR W MIASTECZKU. | 64. FAŁSZYWY KROK. |
| | 65. KRÓLOWA TRAPEZU |

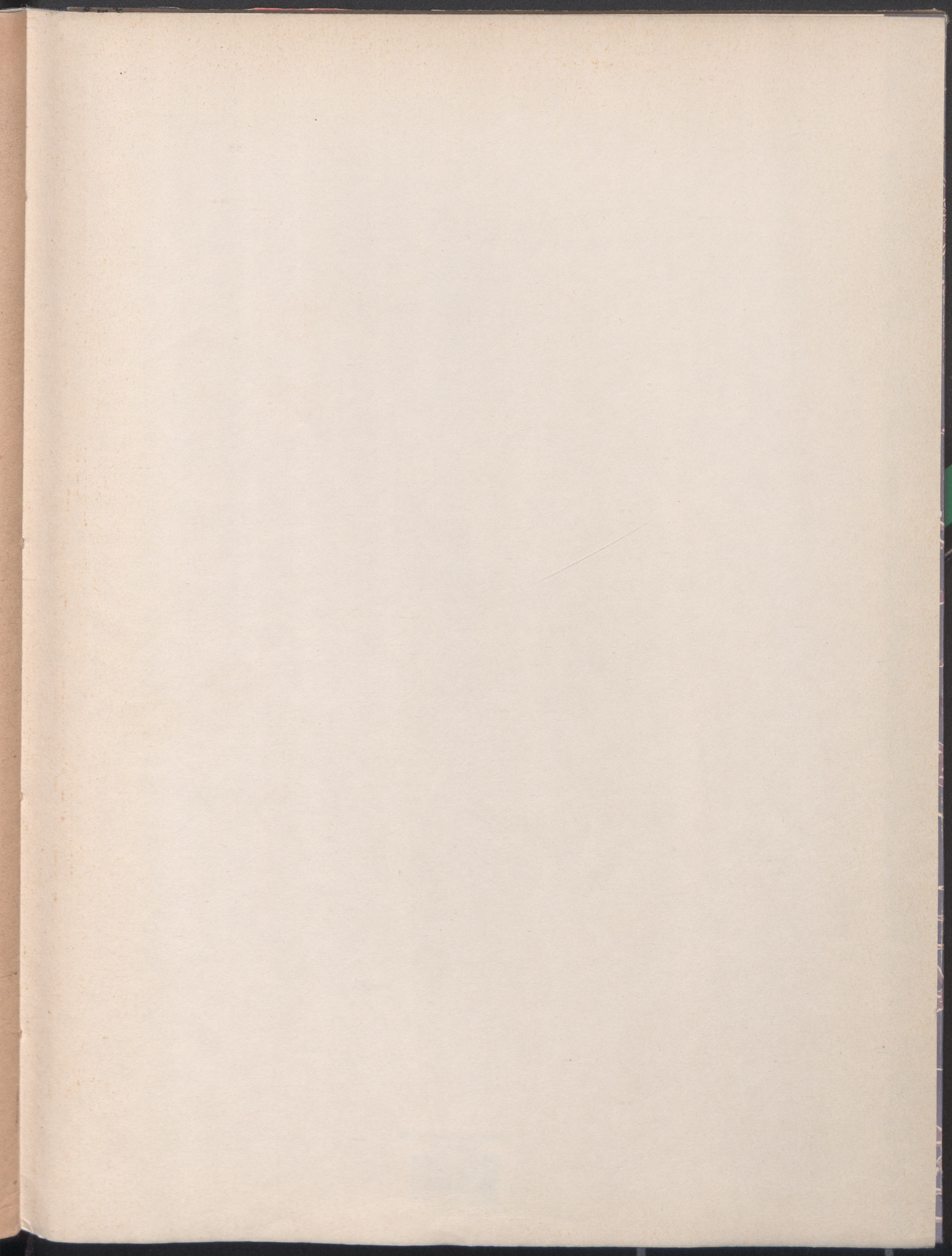
Czytajcie

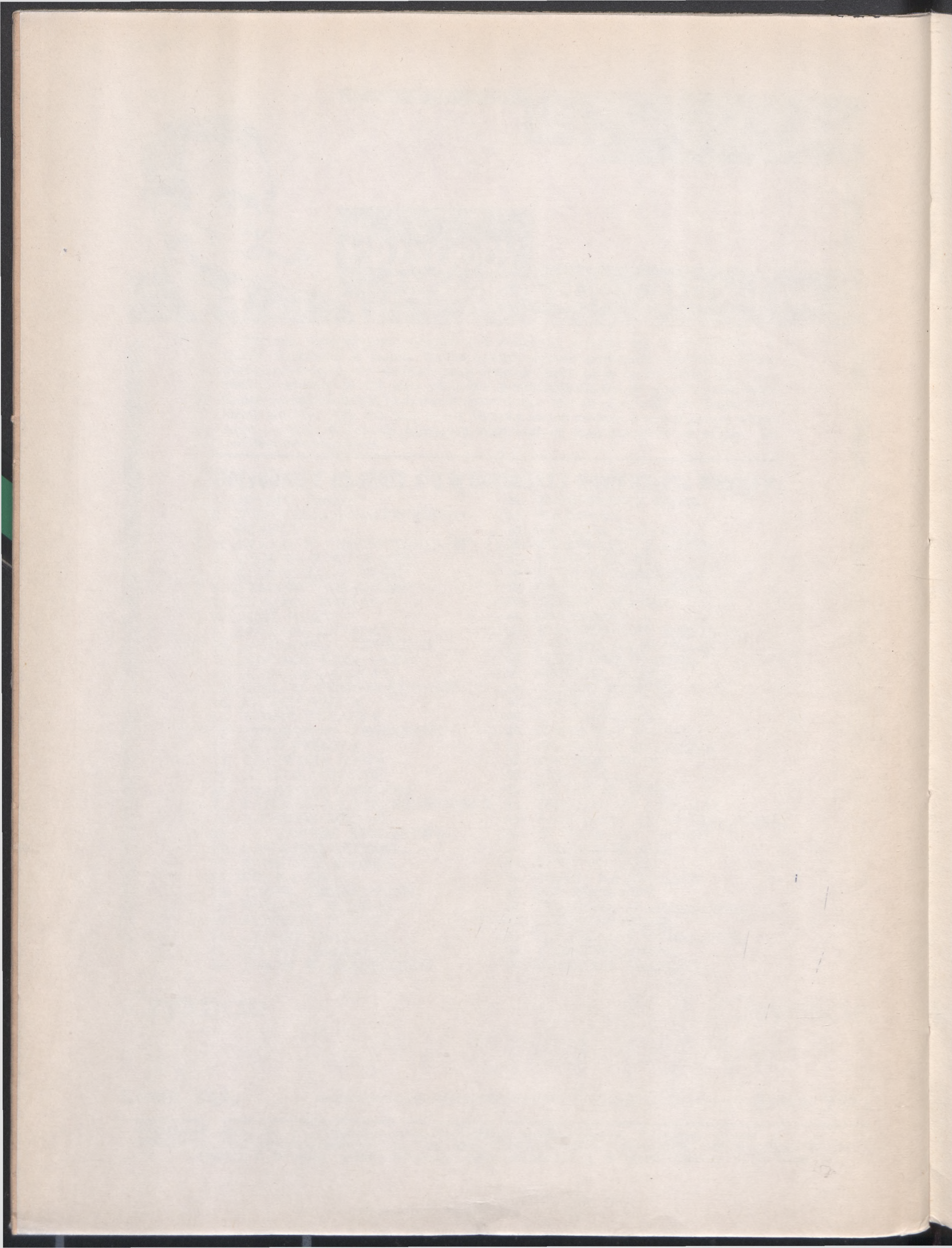
PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena 10.

Cena 10.

REDAKTOR: Antoni Weiss. — Odpow. za ogłoszenia i reklamy Konstanty Losiew. Zamieszkał w Łodzi.
 WYDAWCA: Wydawnictwo „Republika” Sp. z ogr. odp. — Odbito w drukarni własnej. Łódź, ul. Piotrkowska 49 i 64.
 Konto P. K. O. 68,148. Adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024366364



623405 / 66 ^{2df}

